Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1879. Rok II.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

NA DZIEŃ UROCZYSTEGO OBCHODU 50-LETNIEJ ROCZNICY ZAWODU LITERACKIEGO J. I. KRASZEWSKIEGO.

Pół wieku umysłowej pracy poświęconej swoim współbraciom — zaiste niemała zasługa! A praca taka u wolnych i samoistnych narodów — to tylko spełniony obowiązek, to tylko jawny i swobodny wyraz moralnej treści, to wreszcie dogodzenie ambicyi, osiągnienie dostojeństw, bogactw, zaszczytów i chwały! Inaczej u narodów podbitych, którym pęta krępują ducha i ciało, nad którym wiecznie zawieszony bicz, który surowo karci wszelkie szlachetne porywy, przygniata każdą iskierkę natchnienia, zrywa niedojrzały jeszcze owoc pracy, ożywiającej organizm narodowy,



J. I. KRASZEWSKI.

odejmuje mu żywotne siły, i wciela je w własne. Praca wytrwała wtedy staje się ofiarą, bo taki pracownik, jeżeli natchniony jest miłością i uczuciem wyższem, a nie dąży do osobistych celów, poświęca swoją swobodę, zdrowie a nawet życie, trud jego łzawy i krwawy, a nagroda chyba w własnem sumieniu, które ból serca i ciężką troskę jasnem promieniem nadziei przyszłych plonów ozłaca. — Takie niestety są n a s z e losy! Jeszcześmy dosyć nie odpokutowali win naszych, jeszcze Bóg, na którego skinienie drżą najpotężniejsze trony, nie ulitował się nędzy naszej, i spuszcza na nas gromy. Toż niewola cięży nam, umysł i serce pod obuchem, a mimo tego krew żwawo krąży w żyłach, wzmacniają się siły, wre życie rączym prądem — mozolnie dobijamy się przyszłości, cegiełkę po cegiełce składamy do owego gmachu,

który nas zbolałych, schłostanych ręką Bożą i ludzką, rozsypanych po całym świecie, obcych sobie, a często nawet wrogich, ma przyjąć w wnętrze swoje jako jedną rodzinę, zgodną, miłościwą, wolną od więzów fizycznych i moralnych. Do tego wytkniętego celu wiodą nas jako gwiazda przewodnia mężowie, których Bóg zsyła nam jako wskazówkę, iż nie przeznaczył nas na zagładę, owszem na odrodzenie i samodzielne życie. A najjaśniejszą może śród tych gwiazd rozświecających ciemności naszego tułaczego życia w niewoli, jest niezawodnie postać wzniosła, szlachetna naszego dzisiejszego Jubilata! Wszystkim warstwom narodu polskiego znane jest imię J. I. Kraszewskiego. Pod słomianą strzechą ubogiej szkółki wiejskiej zarówno jak w wspaniałym gmachu Akademii owite jest ono laurem czci i uwielbienia, a narodu całego serce przejęte jest dla niego wdzięcznością i miłością. Toż z szlachetnym zapałem, z prawdziwem uczuciem rwie się On dzisiaj do serdecznego objawu uwielbienia Temu, który przez lat pięćdziesiąt w ciężkim trudzie poświęcał Mu całego siebie, sączył po kropli w serce Jego miłość dla uciśnionej Ojczyzny, cnoty domowe i obywatelskie, gorący popęd do pracy, poszanowanie wszystkiego, co swoje, zacne i święte; który krzewił obszerną wiedzę, rozbudzał do życia uspionych, przelewał własną krew w zastygłych, hamował szalone zapędy rozbujałych, gromił odstępców, jakoby głosem własnego sumienia ciskał prześladowcom naszym straszne dla nich: „*Memento!*“ — Ciężka to praca krwią i łzami nasiąkła! Drogi, któremi chodził, nie śród róż, lecz raczej głogów i cierni! Trzeba było w ciężkiej doli tłumić w sobie jęki i łkania, ukazywać twarz pogodną, aby nie odbierać nadziei, nie wtrącać w przepaść rozpaczy, owszem podnosić ducha, ożywiać zbolałe serca! Trzeba było iść w krwawe zapasy z obcymi i ze swoimi, uzbroić się niemal w nadziemską moc, aby Ideałowi swemu, jeżeli nie zapewnić, to przynajmniej torować zwycięstwo! Trzeba było wyrzec się szczęścia domowego, wszelkich samolubnych celów, iść w końcu na wygnanie, aby ztamtąd całą duszę wylać dla Narodu, któremu poświęcił każde tchnienie swego żywota! Ale też po wielu latach ciężkiego trudu i znoju dojrzał owoc Jego szlachetnej pracy. U schyłku żywota swego zbiera skrzętny pracownik obfite plony — gdzie spojrzy po rodzinnym obszarze, buja dorodny kłos, przygłuszając i tłumiąc pasożytne chwasty, wre życie czysto polskie w sercu narodu, rozszerza się daleko horyzont wiedzy, promienie nadziei stają się coraz jaśniejsze, rozbudza się chęć do pracy, gasną namiętne szały, a na gruzach ich powstaje miłość dla Boga, dla ludzkości, dla Ojczyzny i dla owych proroków, którzy nam lepszą przyszłość wieszczą. Serce nam mówi, że to nie złote barwy wyobraźni naszej, któremi kreślimy ów obraz, lecz prawdziwa istota rzeczy. — Oby tak było!

Ty, przezacny Jubilacie, jesteś jeden z owych proroków, któremu Naród uwierzył, toż wdzięczny za owe wieszczenia śród pracy i trudu półwiekowych, oddał Ci całe serce swoje, i dziś wyraża jednym głosem hołd czci i uwielbienia, miłość i serdeczną wdzięczność Temu, który żył i działał tylko dla Jego dobra, dla jego szczęścia, dla jego przyszłości!

Tych kilka wyrazów, zaiste słabych i nieudolnych, ale sercem kreślonych, przyjm szlachetny Mistrzu i Wodzu od szczupłego grona łowców polskich, którzy głęboko wryli w sercach swoich zasady przez pół wieku przez Ciebie głoszone, którzy pragną wiernie Ci towarzyszyć w boju o wszystko, co dla Ciebie święte i drogie, którzy wreszcie porwani ogólnym prądem czci i uwielbienia dla Ciebie — stają dzisiaj ochoczo w szeregach zastępców całego Narodu, wkładającego na skroń Twoją dobrze zasłużony wieniec zasługi.

A gdy właśnie w porze Twego Jubileuszu nam się pora łowiecka otwiera, więc kto z nas osobiście nie będzie mógł złożyć Ci hołdu miłości i wdzięczności, — ten śród tej pięknej przyrody polskiej, którą Ty tak serdecznie miłujesz, śród odgłosu trąb i rogów myśliwskich, śród wrzawy łowieckiej, wykrzyknie całem sercem: „Niech żyje jak najdłużej, niech doczeka ziszczenia swych celów i dążeń nasz przezacny, nasz drogi i wielbiony Jubilat!!“

Sprawy Towarzystwa Łowieckiego.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Borzysławski Władysław	Kopczyński Ignacy
Bubella Konstanty	Kornicki Jan
Buczacki, sędzia pow.	Łodyński Stanisław
Horodyński Kazimierz	Hr. Marasse Adam
Jarosławski Antoni	Stojowski Jordan Mieczysław
Kamiński Stanisław	Stopczyński Artur
Kłosowski Władysław	Ujejski Bronisław

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

BORSUK (jaźwiec).

Niesłusznie umieszczono owo zwierzę w rzędzie wybitnych drapieżców, jakimi są: lis, wilk, niedźwiedź, ryś, kuna. Borsuk jest wcale nieszkodliwem stworzeniem, spotwarzono go niesprawiedliwie, rzucono nań klątwę, i skazano na zagładę chyba z tego powodu, iż jest on ponurym, unikającym światła dziennego, obcowania towarzyskiego, żyjącym jakby w grobowych podziemiach. Przytem sybarytyzm i gnuśność nie jedna mu przyjaciół. Miał on dotąd w człowieku zapamiętałego wroga, i ledwo w ostatnich czasach podnoszą się poważne głosy w obronie jego na silnej podstawie starannego badania jego życia, obyczajów.

Na takim gruncie stojąc, już w pierwszej chwili istnienia „Łowca“, gdy tenże borsuka, idąc za dotychczasową tradycyą myśliwską, a nawet naukową, w rzędzie drapieżnych zwierząt umieścił — zaprotestował przeciw temu hr. Kazimierz Wodzicki. Cenimy wielce ów głos naszego badacza przyrody, godzimy się z nim chętnie, i z góry zapowiadamy, iż rozpatrzywszy się, ile możności, wszechstronnie w podaniach myśliwskich i naukowych, dotyczących tego zwierzęcia, zaciągamy się pod sztandar jego obrońców, i będziemy się starali treściwie, ale dosadnie wykazać, że obrona ta ma racyę bytu, że nie zaprzeczając w pewnej mierze szkodliwości borsuka, nie można stawiać go obok wybitnych złoczyńców rodu zwierzęcego, do których ani naturą swoją ani życiem nie należy.

Borsuk, jaźwiec, nor *(meles taxus*, *ursus taxus*, *meles, taxus vulgaris*, *meles vulgaris)*, ów gnom naszych lasów, do niedawna jeszcze zaliczany był do rodu niedźwiedzi, czyli niedźwiedziowatych *(ursidae)*. Nowsze jednak badania widząc w nim raczej bliższe podobieństwo i pokrewieństwo do kun, do nich go zaliczyły, lubo wielce się od nich różni. Najodpowiedniej postawić go w środku jako osobną familię, do której należy amerykański *meles labradorius*, *der Sandbär*, i inne tego rodzaju, azyatyckie zaś uważane są jako osobny rodzaj. Nasz Bielawski (Myśliwiec), Flemming, Döbel, Fouilloux *(Traité de la vénérie)*, rozróżniają borsuka, w jednym widzą podobieństwo do świni, w drugim do psa, Buffon zaś, a za nim Bechstein, Jester, Altum i inni uważają ów podział za niedorzeczność, i widzą w borsuku tylko odmiany, wynikające z klimatu, wieku i t. d. Jako mieszkaniec podziemi, nieprzyjaciel światła, samotnik, unikający łączności z światem zwierzęcym, nie dziw, że mało jest znany, że przeto dziwne o nim nie tylko między myśliwymi, ale nawet śród zastępu badaczów przyrody obiegały wieści. Ponieważ po bruzdach i rowach wolno łaził, sądzono, iż ma z jednej strony krótsze, z drugiej dłuższe łapy, widziano w nim, jak już wyżej rzekliśmy, podobieństwo to do świni, to do psa, mylnie mniemano, iż w porze snu zimowego ssie własny tłuszcz, nim się żywi, więc na mocy owej charakterystyki zaliczano go do niedźwiedzi. Nie będziemy przywodzić wszystkich owych dziś już za niedorzeczność uważanych twierdzeń, przejdziemy raczej do szczegółowego opisu owego zwierzęcia, o którem badacze nie wyrzekli jeszcze ostatniego słowa, a tajemnicze jego życie jest zawsze przedmiotem dociekań. Borsuk dosięga 75 cm. długości ciała, 18 cm. długości ogona, a około 30 cm. wysokości. Stary samiec w jesieni dochodzi do 20 kilogr. wagi. Tułów zbity, silny, kark gruby, głowa długa z ostro zakończonym ryjem, oczy i uszy małe, stopy nagie, silne pazury u łap przednich, ogon krótki włosisty, skóra pokryta gęstym, grubym, długim, twardym, błyszczącym włosem, są jego charakterystycznem znamieniem. Włos szary zmięszany z czarnym, który wychodzi z żółtawego puchu, i w tył się kładzie, pazury łukowate. Zębów ma 38, z których pierwsze, nader małe, zwykle wypadają, i tylko 34 pozostają. Przednich 12, reszta trzonowych, te z wiekiem wypadają. Podniebienie z 10 łukowatymi fałdami. Zęby ostre, szczęki silne. Oczy bardzo małe opatrzone naskórkiem, chroniącym je przy grzebaniu ziemi. Wzrok słaby, ale słuch i wiatr ostre. Włos na grzbiecie czarny i biało szary t. j. u spodu żółtawy, w środku czarny, u szczytu szaro-białawy, na połciach i u ogona czerwonawy, na podbrzuszu i łapach czarno-brunatny. Głowa biała, ale od ryja ku górze ciągnie się czarna smuga, rozszerza się po nad oczy i uszy i gubi na grzbiecie. Samice odróżniają się mniejszymi rozmiarami i jaśniejszem zabarwieniem włosa. Rzadko wydarzają się odmiany czysto-białe, a jeszcze rzadziej z kasztanowatemi plamami na białem tle. Noworodki mają wraz z ogonem 19 cm. długości, cienki, na podbrzuszu nader skąpy, dosyć gruby, szczeciowaty, przylegający, gdzieniegdzie tylko szary i czarny, zresztą biały włos. Smuga na głowie już jest widoczną, ale jeszcze brunatna. Na piersiach i szyi ukazuje się ciemna barwa, ale nie wybitna. — Łapy u borsuka krótkie, stopy pięciopalczaste, pazury długie Osobliwością jest woreczek między otworem odchodowym a osadą ogona, napełniony gruczołkami wydzielającymi tłuszcz białawy, lipki, nieprzyjemnie woniejący, różny od zwykłego. Torebka owa jest organem wydzielania zużytych materyi. Znajdujemy je również u innych gryzoniów, jak u tchórzów, kota Zibeth, bobrów. Wydzieliny te, o ile głównie wytwarzają się w czasie rui, w Grudniu i Styczniu, mają według Ratzeburga służyć do zbliżenia się ku sobie płci, a na podstawie twierdzenia niektórych do żywienia się w czasie tęgich mrozów.

Borsuk żyje, oprócz Sardynii i północnej Skandynawii, w całej Europie do 60 st. północnej szerokości i Azyi. We Włoszech bardzo pospolity, w okolicach Śródziemnego morza niema go wcale, częsty jest na Kaukazie, w Azyi rozszerza się do morza Kaspijskiego i Chin. Zresztą nigdzie się nie znajduje w wielkiej liczbie.

Zamieszkuje samotnie podziemne jamy, które sam sobie wygrzebuje na lesistysh pagórkach, ku słońcu zwróconych z 6 do 8 otworami, które starannie urządza. Główna siedziba jego komora, do którego wiodą krużganki, jest wielką, wygodną, wyścieloną mchem Tam mieści się wraz z całą rodziną swoją. W krużgankach nie przebywa, służą one tylko do czerpania powietrza i przechodu. Najstaranniejszą czystość utrzymuje w swojem mieszkaniu. Gaje niezbyt od pól oddalone, lub zarośla śród pól, nieco wyniesione nad poziom, zawsze mniej więcej niedostępne, obiera sobie za mieszkanie ów samotnik. Miłuje on przedewszystkiem życie wygodne i niezawisłe. Silny i zręczny grabarz wykopuje sobie rychło norę, a w potrzebie zagrzebuje się w jednej chwili. Rozszarpana ziemia wzdyma się wnet, w celu usunięcia jej używa łap tylnych, któremi wyrzuca ją daleko poza siebie, a gdy się jej zbyt wiele nagromadzi, zapiera się na przednich łapach i tyłem ją wypycha.

Tym sposobem z znacznej nawet głębi wynosi ją na zewnątrz. Grzebie czasem przez kilka tygodni pracowicie, nim skończy mozolną robotę, i wyściela sobie miękkie legowisko mchem, gałązkami, pokrzywą, słomą itd. Podściółkę ową umieszcza pod brzuchem i tylnemi łapami, i tak obarczony idzie do jamy. Tu głową i piersią wpycha ją w głąb. Borsuk najbardziej ze wszystkich zwierząt pod ziemią żyjących dba o rozległość i bezpieczeństwo swej siedziby. Krużganki rozchodząc się od komory, mają 8 do 10 metrów długości, a otwory ich czasem o 30 kroków od siebie odległe. Jamy obejmują często przestrzeń 60 kroków w koło, a nawet więcej z jedną lub więcej komorami, a w ostatnim razie zamieszkuje każdy borsuk osobną komorę, co wszakże rzadko się wydarza. Komora znajduje się zwykle na półtora lub dwa metry głębokości pod ziemią, a czasem nawet na pięć metrów, lecz wtedy krużganki idą prawie prostopadle do góry. Spokój jest niezbędnym warunkiem stałego osiedlenia się. W takiej norze przepędza borsuk większą część swego życia, a wychodzi z niej dopiero w głębokiej nocy. Wychodząc otrzepuje się starannie, wysłuchuje pilnie, czy mu jakiekolwiek nie grozi niebezpieczeństwo, a gdy nic go nie zaniepokoi, idzie zwolna wstrzymując się co chwilę. W takim pochodzie, zwłaszcza przy świetle księżyca, lęka się nawet własnego cienia. Nader jest płochliwym, ale w potrzebie, lub napastowany, broni się zażarcie. Częste walki stacza z lisem, i najczęściej zmusza go do odwrotu. Psom stawia odpór zacięty, a tłuste połcie chronią go od psich zębów. Pewien strzelec w Schaumburg widział zażartą walkę borsuka z czterma młodymi lisami, której stara liszka koniec położyła, znaglając dzieci do ucieczki. Twierdzą nawet niektórzy, że rzuca się czasem na człowieka. — W lasach rozległych i spokojnych włóczy się w lecie nawet po południu, lecz tylko wyjątkowo to czyni. W szczególny sposób wchodzi do jamy i wychodzi z niej, nie tak, jak lis, który szybko się wymyka, lecz zwolna i ostrożnie. Naprzód słychać w jamie szelest, następnie wysuwa pół głowy, wietrzy przez chwilę, i kryje się. Kilka razy to powtarza, wreszcie wysuwa się cały, słucha i wietrzy, rozpatruje się w około i idzie małym truchtem. Wchodzi zaś do jamy szybko, a w jesieni, gdy sadlisty, stękając wyraźnie. Czasem, gdy powietrze spokojne i cisza głęboka dokoła, wsuwa się zwolna, a kiedy silny wiatr dmie, najszybciej. Młode wychodzą tylko w towarzystwie, stare zawsze samotnie. Podczas rui żyje borsuk z samicą, zresztą zawsze odosobniony, i z żadnem zwierzęciem towarzysko się nie łączy. Do starych jam wciska mu się często lis, ale wtedy oba wcale nie troszczą się o siebie, lis zamieszkuje wyższe piątra, borsuk zaś niższe. Bajką jest, że lis kałem swoim wypędza borsuka z nory, owszem borsuk często kładzie się w jamach lisich.

Ruchy borsuka są wolne i leniwe, chód ciężki, w ucieczce nawet tęgi pieszak go dopędzi. Głos jego podobny do rechtania świni. Jękliwy, ostry głos wydaje tylko samica, samiec zaś atakowany przez psy mruczy. — Żyje do lat 20, nie ma wszakże w tym względzie pewności. Z chorób, jakim podlega, najczęstszą jest ślepota u starych, zresztą pospolitym jest u nich świerzb w lecie. Obie choroby wynikają zapewne z podziemnego mieszkania i ostrości krwi. Zdarzyło się w r. 1795 w okolicy Drezna, że kobieta ukąszona przez borsuka, dostała wodowstrętu, wszelako nie należy ztąd wnosić, iż podlega on tej strasznej chorobie, w tym wypadku był on prawdopodobnie przez wściekłego psa lub lisa zarażony.

Większą część życia swego przesypia, zwłaszcza w zimie, wtykając głowę między przednie łapy, ale wychodzi przy odwilży, głównie dla napoju. Mylnem jest twierdzenie, jakoby spał na boku zwinięty jak pies, z włożonym nosem pod torebkę podogonową.

Pożywieniem borsuka są korzonki, trufle, bukwa, żołądź, czasem rozgrzebuje gniazda trzmieli lub os, i wyjada słodkie plastry, nie troszcząc się wcale o rozsrożone owady, które go obsiadają i kłują, włos twardy i tłuszcz gruby chronią go wybornie od pszczół. W lecie żywi się głównie owadami, ślimakami, dżdżownikami itd. Ostatnie wygrzebuje z ziemi swymi ostrymi pazurami, jakoteż chrząszcze i inne szkodliwe owady na rolach, łąkach i w lasach. W tym celu nie ryje w głąb, lecz rozgrzebuje ziemię szeroko i głęboko. Ryja używa tylko do wietrzenia. Gąsienice, motyle ściąga z drzew. Bischofshausen widział pewnego letniego wieczora rodzinę borsuczą, złożoną z 5 sztuk, biegającą na wyścigi od jednego drzewa do drugiego, wspinającą się przedniemi łapami na drzewa, stojąc na tylnych, i okrążającą je. Zajęte tem, zbliżyły się do niego, patrzały nań, nie przerywając swej pracy. Widział dokładnie, jak ściągały z drzewa i połykały małe slimaki. Przy tej czynności mruczały. — W jesieni żre borsuk owoce, marchew, rzepę, bób, groch, myszy polne, krety, nawet jaszczurki, żaby i węże. Myśliwi twierdzą, że wybiera jaja ptasie, pożera młode zajączki i warchlaczki, co wszakże zdaje się być nieprawdą. Tschudi twierdzi, iż nigdy takiego żeru w jego żołądku nie widział. W Marcu, gdy silne przymrozki, żywi się ścierwem. Niektórzy badacze podają, iż z początkiem Listopada znosi mały zapas owoców i korzonków do nory, wszelako nigdy ich w komorze nie znaleziono, a wiadomo, że borsuk w późnej jesieni przy odwilży wychodzi na żer lub do wody, w zimie zaś pokarmu nie przyjmuje, zwija się w kłębek i spi lub leży tylko nieruchomy, co trwa zwykle od połowy Listopada do połowy Lutego, potem już wychodzi w każde powietrze. Nie odchodzi daleko od jamy, a dalej wtedy tylko, gdy przez wroga swego wypędzony, musi sobie innego szukać legowiska. Po śnie zimowym wcale nie jest wychudzony (w tym względzie nie zgodne są twierdzenia badaczów), chudnie dopiero po wyjściu, a nabiera tłuszczu coraz więcej w letnich miesiącach, a w jesieni staje się sadlistym. — W winnicach czyni trochę szkody, łapą ściąga grona i raczy się niemi. Z powodu wrodzonej lękliwości i przezorności rzadko pokusi się o młodą kaczkę lub gąskę z zagrody przylegającej do lasu. Padlinę żre tylko w wielkim niedostatku. W ogóle nie wiele jada. W Europie nie należy borsuk do szkodników, a pożyteczność jego w tępieniu szkodliwych owadów o wiele przeważa. Dla czegoż więc myśliwi i leśnicy stawiają go na liście proskrypcyjnej, owszem ochraniać go należy starannie i pielęgnować jako dobroczyńcę. Twierdzą niektórzy, że borsuk niszczy nasienniki leśne — mylą się bardzo, on tam właśnie największą wyrządza przysługę wytępiając pędraki, poczwarki i myszy. Zresztą jest on wielce pożytecznym niszcząc zażarcie jadowite gady, a przysługa to zaiste nie mała. Wszak już samo uzębienie borsuka wskazuje, że nie należy on do roty drapieżców. Innym jest on w Azyi. Radde mówi: „w wschodniej Syberryi jest borsuk o wiele śmielszym i krwiochciwym, jak w Europie. Tu jest on prawdziwym drapieżnikiem, napada na cielęta i pożera słabsze, kaleczy silniejsze, a nad Amurem należy do plag dla trzód. — W późnej jesieni utuczył się już borsuk doskonale, i obmyśla sobie bezpieczne i wygodne schronienie na zimę. Znosi gałązki, liście, mech itd. do jamy, i ścieli sobie miękkie i ciepłe legowisko. Aż do tęgich mrozów gryzie tę pościel swoją, następnie zwija się, układa na brzuch, głowę wtyka między przednie łapy i zasypia snem przerywanym, bo wychodzi w nocy głównie dla napoju.

Czas *grzania* się borsuka nie jest stanowczo oznaczony. Reumann i Aldum podaje Listopad i Grudzień. Tschudi i Oppel Listopad, Rossmässler Grudzień, Brehm Październik. Wyjątkowo tylko, gdy silne mrozy wcześnie ścisną, i młode grzeją się poźniej. W tej porze staje się borsuk niespokojnym, wrażliwym, wydziela ciecz, samiec ugania w nocy za samicą i odprowadza do jej nory, lecz tam nie zostaje, wraca do swojej, i dopiero trzeciego dnia odwidza ją, poczem gdy już miłością się przesyci, wypędza go samica, a on wraca do swojej komory, i snem pokrzepia nadwątlone siły. Po 9 tygodniach (Brehm 12 do 15 tyg.) pomiata samica 3 do 5 czasem nawet do 9 młodych, które przez 9 dni nie widzą. Ssą przez trzy tygodnie i dłużej, a matka pielęgnuje je z miłością, poczem znosi im tak długo pożywienie, dokąd same nie zdołają się wyżywić. Młode mają barwę niebieskawo-szarą, włos na nich krótki, przezco łapy zdają się być dłuższe. Osiągają wzrost starych w drugim roku życia swego, i wtedy zdolne są do rozmnażania. W czasie pomiotu niepodobna matce utrzymać czystość w mieszkaniu, niedołężne bowiem ssaki uczą się tej cnoty dopiero później. Markotno jej wszakże i radzi sobie jak może. Obok komory urządza komórkę, która służy dzieciom jako odchodek, a zarazem jest spiżarnią zasobów pożywienia, które młode w cząstkach spożywają. Po trzech lub czterech tygodniach wysuwają się dzieci wraz z matką aż do otworu jamy, i tam wygrzewają się na słońcu, lub igrają z sobą pociesznie. Tschudi zaprzecza temu głównie z tego powodu, iż borsukowi wstrętne jest światło dzienne, a zwłaszcza ozłocone jasnym promieniem słońca. Aż do jesieni t. j. do powtórnego grzania się, pozostają dzieci przy matce, potem rozdzielają się, i już odtąd wiodą samodzielne i odosobnione życie. Najchętniej kryją się w starych jamach, w potrzebie jednak grzebią nowe na pagórkach piaszczystych, rzadko w gliniastych, czasem nawet między skałami. Jedną norę zwykle przez noc wykończa, potem wchody i komorę urządza powoli. Nory więc są pojedyńcze lub składane, w ostatnich mieszka kilka borsuków w osobnych komorach, a często borsuki i lis. Wyjątkowo tylko pozwala matka umieścić się dzieciom w sąsiedniej jamie.

Jak już wyżej nadmieniliśmy, żyje borsuk do lat 20, lubo przyrodnicy naznaczają mu tylko 12 lat wieku, Reumann jednak twierdzi, iż widywał borsuki ślepe ze starości, podczas gdy dwunastoletni borsuk wcale jest silny i żwawy.

Oswajanie i żywienie borsuków jest wprawdzie łatwe, ale nie daje ani przyjemności, ani pożytku. Stare borsuki, żywcem z jam wykopane, nie dają się oswoić i wychować, są gnuśne, złośliwe i uparte. W dzień się nie ruszają, w nocy dopiero wleką się, przy każdej sposobności kłapią zębami i kąsają, ktokolwiek się do nich zbliży. Lenz trzymał starego borsuka w wielkiej skrzyni. W dzień nie ruszał się wcale tak, iż można go było łopatą z miejsca na miejsce przesuwać, w nocy dopiero chodził. Potrącony świstał nosem, a gdy się rzucał do kąsania, odzywał się podobnie, jak pies lub niedźwiedź. „W pierwszym dniu — mówi Lenz — rzuciłem mu marchew i kilka żywych wężów. Do dnia następnego nie ruszył żeru, gadzinę tylko ukąsił. Następnie dodałem sikorkę, królika i buraki. W czwartym dniu pożarł węża i królika, ptaszka zaś i roślin nie ruszył. Zapragnąłem widzieć, jak też on się raczy tą ulubioną swoją potrawą, lecz zachodziła w tem trudność, ponieważ borsuk w nocy tylko żeruje. Użyłem podstępu. Borsuk chciwym jest świeżego napoju, a gdy przez kilka dni w skutek prześladowania nie wychodzi z nory, to wolny od niebezpieczeństwa naprzód biegnie do wody, i tak chciwie pije, iż jak niektórzy, nie wiem czy prawdziwie, twierdzą, czasem na miejscu trupem pada. Nie dałem mu więc przez dwie doby wody, potem położyłem mu przed nosem żywego, w świeżej wodzie zanurzonego węża. Skoro zwietrzył wodę, podniósł się i począł lizać węża, który chciał się wymknąć. Borsuk przytrzymał go łapą, i pożarł spory kawał w moich oczach z wielkiem widocznie zadowoleniem. Wąż pysk otworzył groźnie ku niemu, lecz nie ukąsił. Następnie postawiłem naczynie, i nalałem w nie wody, natychmiast porzucił węża, i pił chciwie, przy czem nie wystawia języka, jak pies lub lis, lecz porusza dolną szczęką, jak gdyby żuł“. — Inaczej zachowują się młode i starannie pielęgnowane borsuki. Oswajają się łatwo, zwłaszcza jeżeli się je żywi roślinnym pokarmem, nawet chodzą za swym opiekunem, i na zawołanie przychodzą. Takie nie zasypiają na zimę, i podczas najsilniejszych mrozów przyjmują pożywienie, a od zimna chronią się zagrzebane w słomie lub sianie. Beckmann opowiada: „Posiadałem borsuka samicę z przymiotami zwierzęcia domowego, bardzo oswojoną i łagodną. Zwano ją mimo płci Kasprem. Była ona bardzo poczciwą, ale wcale niezgrabną. Z wszystkiemi zwierzętami i ludźmi żyła w zgodzie, najmilszym jej był legawiec, którego do obcowania z dzikiemi zwierzętami przyuczyłem. Z tym psem w pogodnych wieczorach wyprawiała hece, ściągające ciekawość powszechną. Zwykle wpadał borsuk z impetem na psa, oddalonego na kilkanaście kroków, i w przebiegu uderzał go ryjem w bok. Ten przeskakiwał przez borsuka, czekał na drugie i trzecie natarcie, wreszcie dawał się w ogród zapędzać. Jeżeli udało się borsukowi chwycić psa za tylną nogę, to wszczynała się walka, nigdy wszakże groźna. Gdy pies borsukowi dokuczył, to ostatni zabierał się do odwrotu, drżąc i sapiąc prostował się, obtrząsał szczeć i sunął kilkakrotnie poprzed psa. Po chwili układał się włos jego, mrucząc łagodniał, i na nowo rozpoczynała się heca. Większa część dnia przesypiał Kasper w swej budzie, czyli raczej jamie, którą sobie sam wygrzebał w ogrodzie, zajmującym 8 kroków w kwadracie. Była to duża nieregularna dziura, a przy komorze mały otworek, zapewne ułatwiający przystęp powietrza. Po za budą utrzymywał starannie trzy do pięciu dziur w kształcie garnka, które to rozszerzał, to zasypywał, to wreszcie zwężał. Tylko w tych dziurach wypróżniał się. W tęgie mrozy wnosił słomę do jamy, zatykał otwory, przed odwilżą wyrzucał ją i biegał tak długo, dokąd go w cieplejsze miejsce nie zawiedziono. Przestrzeganie czystości dozwalało mieć go w pokoju. Szczególną uciechę miał w włóczeniu się po schodach. Lubił być w pokoju podczas obiadu. Wtedy odpędzał psa legawego, stawał na tylne łapy, kładł przednie i pysk na moje kolano, i domagał się rechcąc kawałka mięsa, które zręcznie zębami z widelca ściągał i zjadał. W zimie chętnie wygrzewał tłusty brzuch, położywszy się na grzbiecie przed ogniskiem. W lecie towarzyszył mi w wycieczce do lasu. To łapał trzmiele, to wygrzebywał owady, to chwytał spadły owoc, to pazurami dobywał ślimaka. Z powrotem szedł niechętnie za nogą i szarpał mi spodnie. Potrącenie nogą zachęcało go do tej igraszki, lecz uderzenie ręką lub prętem gniewało bardzo. Gdy się lenił, był chudy, potem żarł więcej i chciwiej i tuczył się rychło. W końcu Października tak już był sadlisty, że idąc stękał. Żywił się pomyjami, rzepą, marchwią, dynią, owocami, mąką owsianą, mięsem. Śliwki i brzoskwinie znalezione w ogrodzie były dlań przysmakiem, połykał je wraz z pestkami. Surowe mięso pożerał chciwie, ale nie łatwo trawił. Żadnej cechy drapieżnej nie objawiał. Przekonałem się, iż oswajanie borsuków jest rzeczą łatwą. W końcu Października objawił się u mojej samicy popęd płciowy, który

jednak trwał tylko kilka dni. Niestety nie mogłem dostać samca, kilka młodych złowionych, lubo zdawały się zupełnie zdrowe, zdechły wkrótce z jakiejś wewnętrznej choroby. Mimo tych ujmujących przymiotów borsuka, nie nadaje się on wcale na towarzysza, szczególnie dla dzieci. Prócz złośliwości, przestrasza się lada czego, wtedy odskakuje, najeża włos i w trwodze wpada na przedmiot, który go razi. Mój Kasper zginął pewnego jesiennego poranku nędznie. W nocy opuścił swoją budę, włóczył się po ogrodach i polach, i wrócił nad ranem do zagrody, odległej od dworu o świerć mili. Chłopi uważając go za zabłąkane prosię, zabili go drągami". — Kiärbölling miał samicę, która rzuciła dwoje młodych, pielęgnowała je starannie, i była wtedy bardzo srogą. Przy zbliżeniu się czyimkolwiek, nawet swego dozorcy, rzucała się, kłapiąc zębami, ku kracie. Z podrastającemi dziećmi igrała pociesznie.

(Dokoń. nast.) *J. Ł.*

ŁOWIECTWO W ROSYI

PRZEZ

Br. NOLDE.

Pole łowieckie w ogromnem cesarstwie rossyjskiem jest różnorodne, gdy bowiem w jednej jego części przechowały się jeszcze niedostępne prawie i nieprzejrzane lasy, istne bory dziewicze, to w innej niemal wcale ich nie ma, a oko myśliwego nuży się nieskończoną przestrzenią burzanów — tak zwanym stepem. Góry jak np. Ural, Kaukaz i inne, są siedliskiem rzadkiej i szlachetnej zwierzyny, kozic. Kraje u kresu północnego, wiecznym niemal śniegiem pokryte, zamieszkują koczujące ludy, które głównie łowiectwem się zajmując, przyswoiły sobie niektóre zwierzęta łowne od niepamiętnych czasów i używają ich do potrzeb życia swego, jak n. p. renów *(cervus renis)*.

Polowanie i uprawnienie do niego zawisło w Rossyi naturalnie także od miejscowych stosunków, w części pozostawione samowoli mieszkańców, w części zaś ograniczone prawem i przepisami policyjnymi, a wtedy obowiązuje ono tak pojedyńczych właścicieli polowania, jakoteż całe gminy i posiadłości koronne. — Niezmierne, nader rzadko zaludnione, czy to lasy, czyli też nieprzejrzane stepy, nie podlegają prawie co do polowania prawu, które wreszcie niepodobna byłoby tu w wykonanie wprowadzić. Któż prócz tamtejszych mieszkańców, lub jakiegoś chwilowo tam przebywającego badacza przyrody, mógłby w tak dalekich okolicach polować? Na to zapytanie łatwa odpowiedź: nikt, chyba zwierzęta drapieżne, tam mieszkające, a byłoby niedorzecznością, dla nich prawa polowania ustanawiać. O takich tedy miejscowościach mówić nie chcemy, wspomniemy tylko później o rodzajach zwierzyny tamtejszej, a teraz zwrócimy się do okolic bardziej zaludnionych i uprawionych, a rozpoczniemy od Kurlandyi, przywodząc jej stosunki łowieckie, i porównując w tym względzie przeszłość z teraźniejszością. Znajdują się w niej jeszcze ogromne lasy i rozległe bagniska, w których mieszka różnorodna zwierzyna, jak łosie, sarny, zające polne *(lepus timidus)* i zające leśne *(l. variabilis)*, głuszce, cietrzewie, jarząbki i pardwy; z drapjeżnych czworonożnych: wilki, rysie, lisy, kuny, tchórze, łasice, a w Senegalii pojawia się czasem przemykający z Inflant albo Witebska niedźwiedź. Przed dwoma laty zabito w rewirze koronnym Sauken rosomaka *(gulo borcalis)*, ten jednak nie należy do autochtonów, i raz jeden tylko w naszych lasach się pojawił. Mieszkaniec ów najskrajniejszej północy, przebywał w tamtejszych rewirach przez lat kilka, obsaczony był mylnie jako ryś i zdobi dziś Muzeum w Mitawie. Chłop, na którego naprzód wyszedł, widział w nim czarnego psa, i nie chciał doń strzelać w końcu jednak strzelił i zranił go, poczem kowal go dobił. Pasterze widywali go dosyć często, uważając za małego niedźwiedzia, opowiadano także o nim, że często sarny rozdzierał, na owce jednak się nie rzucał. — Łosie są jeszcze w Kurlandyi, lubo w dwóch ostatnich dziesiątkach lat umniejszyła się znacznie ich liczba z powodu jużto bezwzględnego prześladowania i wybijania przez nierozsądnych i zbyt namiętnych myśliwych, już też z przyczyny rozległego trzebienia lasów. Gdzie dawniej setkami bywało łosiów, można obecnie na pewne jedno zero odciąć, a i taka liczba jest za wysoką. — Stan sarn w Kurlandyi może być uważany jako bardzo pomyślny, a powiększył się o tyle bardzo, o ile usilnie starano się tępić wilki. Ostre i długotrwałe zimy, grube zaspy śniegowe i często długo na nich leżąca skorupa lodowa, dziesiątkują wprawdzie sarny, mimo tego jednak liczba ich widocznie się nie umniejsza. W czasie wielkich upałów letnich i posuchy chorują łosie, głównie z powodu braku wody i podlegają chorobie księgosuszu. Zresztą giną łosie i sarny od strzałów kłusowników i niedojrzałych myśliwych, gdy trapione w lecie przez szerszenie, muchy i komary, wychodzą ze swoich ochronnych, zimowych stanowisk w knieje liściaste, i tam padają jako zwierz przechodni bez względu na płeć. — Zające tępi głównie brak żeru w czasie ostrych i przeciągłych mrozów, gdy się im go nie podrzuca. Zając leśny łatwiej wtedy ocalić się może, zamieszkując bowiem tylko lasy, łatwiej znachodzi pożywienie, choćby nader skąpe, gdy przeciwnie zając polny pożywniejszego do utrzymania życia potrzebuje pokarmu. — Głuszców mamy w Kurlandyi dosyć, mają one wyborne toki, w niektórych czasem po 20 do 30 kogutów znaleść można, a wtedy można do syta rozkoszować się ich powabnem graniem. Wielkie zręby niszczą najlepsze ich tokowiska. Szerzące się u nas przed kilku laty spustoszenie lasów, zdziałane przez owady, a mianowicie przez tak zwaną Brudnicę mniszkę *(Psillurus monacha, die Nonne)*, które głuszcom najdogodniejsze do lęgu miejsca odjęło, przyczyniło się wielce do umniejszenia ich liczby. Równie zgubnie wpłynęło to spustoszenie na stan jarząbków *(tetrao bonasia)*, albowiem ono ułatwiło jastrzębiowi gołębiarzowi (*falco palumbarius)* wybieranie z nich smacznej zdobyczy. Cietrzewie mniej z tego powodu ucierpiały, ponieważ lęgną się one w moczarach i mokrych brzozowych lasach, i tam wychowują swe młode, ale natomiast nierozważni myśliwi, tępili je bezwzględnie przy pomocy wyżłów, nie szanując wcale matek, co wszakże czynić już sam wzgląd pożytku nakazuje, jedna i ta sama matka trzyma się stale jednego miejsca przez wiele lat, a z wiekiem (naturalnie nie zbyt wysokim), coraz więcej młodych wylęga. Ja sam strzelałem do stadka z jednego lęgu, złożonego z 12 sztuk. Jarząbki często też są trapione biegunką, czyli właściwie oziębieniem kiszek z powodu iż w zimie lodem powleczone pączki brzozowe połykają. Choroba ta niszczy je. Zresztą sroga i długa zima i śnieżne zaspy nie szkodzą głuszcom, cietrzewiom i jarząbkom, zamieszkują one bowiem w ogromnej ilości bardzo ku północy wysunięte miejscowości. Krociami wywożą to ptactwo ztamtąd na targi rossyjskie i niemieckie. Po większej części bywają sidłami łowione. Stan kuropatw *(perdix cinerea)* trudno oznaczyć, zmienia się bowiem ich liczba w miarę sprzyjających lub nie-

przyjaźnych wpływów. Starannem żywieniem można wprawdzie kuropatwy dobrze przezimować, ale są lata, w których wszelkie starania bywają daremne. Czasem napada je manja wędrówki, wtedy bądź podlatując, bądź biegnąc, dążą ku południowi w większych stadach i najczęściej już niewracają. Głuszce, cietrzewie i jarząbki stale się miejsc trzymają. Pardwy *(tetrao lagopus)* były w Kurlandyi dawniej wszędzie w rozległych, lasem otoczonych moczarach, z czasem jednak coraz bardziej posunęły się ku północnym okolicom.

Co do zwierząt drapieżnych wilki i rysie coraz są rzadsze, natomiast lis, kuna, tchórz i łasica bardzo są pospolite, mimo prześladowania, na jakie są narażone. Polowanie na rysia jest u nas bardzo rzadkie. Ryś jest najgroźniejszym dla sarn, gdzie się znajduje, tam niezawodnie jedna lub dwie sarny każdej nocy pada ofiarą jego drapieżności. Nie lubi on padliny, ale szuka świeżego mięsa, a co z niego nie pożre, zagrzebuje w śniegu, ale nigdy do tej pastwy nie powraca, bo z łatwością chwyta świeżą zdobycz.

W zwierzyńcach chowają się w Rossyi daniele, jelenie i bażanty. Mrozy wcale nie szkodzą bażantom, jeżeli się je karmi należycie, mianowicie pszenicą.

Tyle o zwierzynie, zwróćmy się teraz do rozmaitych sposobów polowania. Rozpocznę od łosia *(cervus alces)*. Zamieszkuje on stale knieje, jeżeli się go nie płoszy i ma dosyć żeru, lubo często napada go chęć wędrówki nawet w bardzo odległe miejsca. Jeżeli podczas takiej wędrówki nie padnie od strzału myśliwego, to przed zimą jeszcze wraca do swych rodzinnych kniei. Czasem z powodu wielkich pożarów leśnych lub innych przyczyn wynoszą się gromadami i nigdy już nie wracają, lecz obierają sobie nowe często nader odległe od rodzimych ostoje. Tak przed kilku laty przechodziło może 30 sztuk łosiów, zapewne z Inflant lub z dalszych może jeszcze okolic, w biały dzień przez rewir koronny Tanerkaln w Kurlandyi, i pozostały tam stale. Polowałem w owym rewirze, i zabiłem kilka sztuk, może właśnie z owych przybylców. Poluje się na nie z nagónką po poprzedniem dokładnem obtropieniu. Ponieważ łoś łatwo się nagania, trzyma się pewnych przesmyków, a jako gruba zwierzyna, wydatnym jest celem dla myśliwego, przeto polowania owe zwykle pomyślnie się kończą, może nawet czasem nadto pomyślnie, więcej bowiem tej zwierzyny pada, jak racyonalne utrzymanie jej dozwala. Łoś nie wybiera jak niedźwiedź, rys, wilk lub lis, jako przesmyki gąszcza, lecz przeciwnie rzadkim idzie lasem. Zwykle postępuje łoś, czasem około tysiąca funtów ważący, lekkim kłusem, po strzale chyba, zwłaszcza gdy jest raniony lub mocno przestraszony, sadzi w ogromnych skokach. Strzela się do niego i to nie ze sztućca, lecz ze zwykłej strzelby kulą okrągłą, ponieważ strzał zwyczajnie pada z niewielkiej odległości, a kula okrągła, jak to już doświadczenie stwierdziło pewniej zabija, jak stożkowa lub inna. Odwilż bardziej sprzyja pomyślnemu polowaniu, jak silne mrozy, wtedy bowiem łosie są niespokojne i z jednego miejsca przenoszą się na drugie, co utrudnia obtropienie i spotkanie z niemi. Ostoją łosia jest zwykle grunt bagnisty i rozpadły, w którego pobliżu podnosi się suchy las. W zimie odłączają się stare łosie od rodzinnego grona i chodzą razem. Temu ich zwyczajowi zawdzięczam, iż raz w pięciu dniach położyłem 8 starych rogaczów, a z nich 3 na jednem stanowisku. W wczesnej jesieni, gdy jeszcze dosyć ciepło, polujemy na łosie z psami. Na takiem polowaniu myśliwi siedzą na koniach, uzbrojeni w strzelby. Pędzona przez psy zwierzyna, podówczas ciężka, ledwo godzinę lub półtora pomyka, następnie staje i stawia odpór psom, a wtedy myśliwy kładzie ją celnym strzałem, wymierzonym za ucho. Ten rodzaj łowów jest wprawdzie bardzo dla myśliwych ponętny i interesujący, ale nadto niepokoi knieje. Znużony pogonią i prześladowany nieustannie przez psy, rzuca się łoś w wodę, i szuka w niej pokrzepienia sił i ocalenia. Takiego zmęczonego łosia zabiłem raz na jeziorze w wiorstowem oddaleniu od brzegu. Trudno sobie wyobrazić, jaką rozkoszą dla prawdziwego myśliwego jest takie polowanie, odgłos trąb, dzwonki goniącej zgrai psów, dopędzanie zwierzyny, częste zachęcające okrzyki, składają się na ową najwyższą przyjemność. — Łoś lubi wielkie, spokojne, bagniste, wierzbowe lasy i tam chętnie stale zamieszkuje, a gdy mu szerszenie i komary zbyt dokuczają, wynosi się do małych liściastych gajów, lecz powraca z nadejściem mroźnej pory do właściwej jego naturze ostoi. Pora grzania się łosia przypada na Wrzesień, a w Kwietniu rodzą stare samice po dwoje a nawet troje cieląt, młodsze zaś zwykle tylko jedno. Rogi zrzuca łoś tak jak sarna w jesieni, a na wiosnę stroi się w nowe. Ponieważ łoś żyje tylko z produktów leśnych, a zboża i łąki w celu żerowania nie nawidza, przeto wyrządza on szkodę i to nie małą leśnikowi tylko. Głównie żywi się łoś korą osiczyny, objada latorośla tychże jakoteż wierzbowe i innych miękkich drzew, na bagnach rosnące bobrek trójlisciowy i młode sosenki, jak długo ich dosięgnąć może, i tym sposobem czyni szkodę, bo drzewa te karłowacieją. W przyległych lasom zbożach o tyle czyni szkodę, że się w nich tarza w celu uwolnienia od trapiących go owadów. W czasie grzania się, staczają łosie z sobą krwawe walki, lecz nie rogami, ale przedniemi racicami, któremi nie tylko swoich rywalów, ale także psy i wilki kaleczą. Człowieka nigdy nie atakuje, chyba w najwyższej ostateczności, przez psy do wściekłości pobudzony, lecz wtedy lada pień drzewa myśliwego ochroni. Podczas grzania się wydają z siebie głos podobny do kaszlu lub uderzenia siekierą w drzewo. Takim głosem wabiony zbliża się łoś na strzał, stając do walki z mniemanym współzawodnikiem. Wilka i rysia się nie lękają, chyba, że głodem lub chorobą wysileni nie zdołają im stawić oporu. Rzucają się czasem wilki na cielęta łosie, lecz w takim razie matka broni je dzielnie. Najsroższym więc wrogiem łosia jest jedynie człowiek, jeżeli się usadzi na jego życie. Księgosusz w czasie upałów, spowodowany brakiem wody i choroba racic czynią w ich rodzie spustoszenia. Rzecz szczególna, że olbrzymi, ciężki i pozornie niedołężny łoś przebiega z łatwością przez miejsca bagniste, przez które ani koń, ani wół, ani nawet człowiek przejść nie zdoła. Da się wytłómaczyć nadzwyczajną szybkością biegu, iż racice jego nie grzezną. Chłopi twierdzą, iż łosie przez trzęsawiska przeprawiają się, kładąc się na bok i racicami posuwając się coraz dalej. Nie stwierdziłem tego mniemania, owszem sam widziałem klempę z cielęciem zagrzęzniętą w jeziorze tak mocno, iż dopiero przywołani ludzie je z niego wydobyli. Łoś płynie wybornie i chętnie idzie do wody, zwłaszcza gdy go owady trapią, puszcza się nawet czasem na morze, i albo w niem tonie, lub staje się łatwą rybaków zdobyczą. Kurlandya, Inflanty, Estonia i wiele rossyjskich gubernii a szczególnie litewskie, posiadają łosia jako stałego lasów mieszkańca, a w Syberyi znajduje się on w znacznej liczbie. Im dalszą północ zamieszkuje, tem bardziej trzyma się gromadnie. W Niemczech już go wcale nie ma, w Prusiech tylko w rewirach Ibenhorst mieszka jeszcze, lecz i tam wyginie, jeżeli prawo nie weźmie go w obronę. — Tyle o łosiu i polowaniu na niego, nie wspominam tu o niemyśliwskim sposobie zabijania łosiów w jamach wilczych, w których na Litwie tę zwierzynę łowią, i w nich ją zabijają

Wypada mi nadmienić o rodzaju polowaniu *par force*. Takie łowy odbywają myśliwi na koniach z kilku sworami ogarów z pomocą kilku ludzi, którzy opatrzeni są w trąbki w celu sygnalizowania i bicze dla poskramiania psów. Każda zwierzyna ma swoją nazwę, która głośnym okrzykiem bywa oznajmiana, gdy ją psy gonić poczynają. Według sygnałów i owych okrzyków kierują się myśliwi ku znanym przesmykom zwierzyny. W tem zawisła cała ich zręczność, a nie jest to rzecz łatwa, dobiedz wcześnie na takie przesmyki, zeskoczyć w porę z konia i strzelić celnie, zwłaszcza, że zwierz goniony przez psy, pomyka rączo. Rozpoczynają się owe łowy w taki sposób: przy odgłosie trąb wyjeżdża wcześnie rano drużyna myśliwska, na czele dojeżdżacz z sforami psów, następnie ruszają pomocnicy łowów w liczbie trzech lub czterech, w końcu jeźdźcy na niewielkich ale silnych i wytrwałych koniach. Przybywszy na przeznaczone miejsce, rozstawia kierujący łowami myśliwych pod wiatr na znanych mu przesmykach i daje trąbką sygnał, aby dojeżdżacz na przeciwnej stronie kniei psy ze sfory puścił. Odgłosem trąbki i szczwaniem zachęcają dojeżdżacz i straż lasowa psy, a pierwszy sygnalizuje pewnym tonem trąbki, gdy psy zwierzę jakie ruszyły. Jeżeli zwierz umknął z miotu, lub był chybiony, rozpoczyna się prześladowanie jego t. j. dojeżdżacz i kierujący polowaniem idą za goniącą złają, a myśliwi na koniach zabiegają zwierzynie drogę. To prześladowanie dokonuje się nieraz na mil kilka, zwłaszcza gdy psy gonią łosia, starego rogacza, wilka lub lisa. Zające tak daleko nie pomykają, lecz wracają zwykle do miejsca, zkąd je poruszono. Kozy mianowicie z spiczakami i młode lisy kręcą się około swojej ostoi. Takie *par force* polowanie odbywa się na wszelką zwierzynę, ale że psy gonią wszystko, co zwietrzą, a szczególnie chętnie sarny. Gdy się ono zakończy położeniem zwierzęcia przez myśliwego lub schwytaniem przez psy, to znowu ustawiają się myśliwi przed miotem i wpuszczają się weń psy. Powtarza się to aż do wieczora, poczem przy odgłosie trąb i wesołym rozhoworze wraca myśliwstwo całe do domu. Każdy myśliwy zawiesza ubitą przezeń mniejszą zwierzynę, lisy, zające poza siodłem według przyjętej reguły t. j. pierwsze po prawej, drugie po lewej stronie, i to tyle tego, ile koń dźwigać zdoła. — Tego rodzaju łowy nader są szkodliwe dla zwierzostanu, ale dostarczają myśliwym najwyższej rozkoszy. Nie każdy pies atakuje wilka, w tym celu zaprawia się psy na gniazdowych wilczętach, czem zażartość ich nawet przeciw starym wilkom się rozbudza. Niektóre psy gonią łosia chętnie, nie wytrzymują wszakże zbyt długo, chyba że już się do takich łowów zaprawiły, wtedy atakują tak długo, dokąd nie padnie. W celu zmuszenia stawienia się łosia psom, napędza go dojeżdżacz trzaskaniem z bicza, gdy się po raz pierwszy nie znużony jeszcze psom stawi. Tym sposobem gon idzie dalej, łoś kilka razy stawi się psom, wreszcie tak z sił opada, że myśliwy może się doń zbliżyć na kilka kroków i strzałem w głowę powalić.

Miłośnicy łowów *par force*, a nie myśliwi i nie tędzy strzelcy, trzymają kilka smyczy chartów, z którymi upędzają się za zwierzyną, szczególnie za zającami u brzegów lasu, na polach, łąkach, na które ona zaniepokojona w lesie wypada. Kilkakrotnie szczwany a nie schwycony zając, sztuczkami zwodzi charty i broni się im. Lis rzadko kiedy ujdzie pogoni, sarna zaś prawie zawsze, bo najbardziej rączy chart ją nie doścignie, heca na nią udaje się tylko wtedy, gdy dojeżdżacz z chartami ukryty dobrze blisko i na sztych ją poszczuje, wtedy ona przerażona, bez pamięci, skacze w miejscu to w jedną to w drugą stronę, a tymczasem chwytają ją charty. Zdarza się czasem, że zbyt długo goniony zając jakby piorunem rażony skacze w górę i spada martwy na ziemię w skutek udaru płucowego. Polowanie z chartami jest dla zwierzostanu nader szkodliwe, zając bowiem, jeżeli umknie pogoni, najczęściej pada ofiarą wysilenia.

W Rossyi, mianowicie na bezdrzewnych, rozległych, burzanami zarosłych stepach, używany bywa gatunek roślejszych i silniejszych chartów na wilki, nawet na stare. Na takie łowy nie wystarcza wszakże smycz złożona z trzech chartów, jak na inną zwierzynę, większa liczba zdoła starego wilka pokonać, lub zmęczonego tak długo na miejscu zatrzymać, dokąd dojeżdżacz nie nadbiegnie, kordelasem nie zakłuje, lub zakneblowanego żywcem z sobą nie zabierze. Do tego jednak nie małej trzeba zuchwałości i odwagi. Dzieje się to w taki sposób: dojeżdżacz ma w ręku kij z twardego drzewa, ostro zacięty z obu stron, tak długi, iż ledwo z obu stron ręki wystaje. W środku tego kija przymocowany jest silny, konopny sznur. Wysilony i przez psy osaczony wilk zwraca się ku dojeżdżaczowi, który pakuje mu lewą rękę, a z nią ów kij, prostopadle zwrócony w paszczę, nie obawiając się skaleczenia, bo zęby ciała jego nie dosięgną, prawą zaś ręką krępuje mu paszczę mocno sznurem, następnie wiąże mu nogi, zarzuca na siodło i sprzedaje miłośnikom hecy, na której oni swe psy zaprawiają. Tym sposobem chwytane żywcem wilki bywają często w Petersburgu i Moskwie sprzedawane, a kupują je zwolennicy wyżej wspomnianej hecy lub też urządzający improwizowane polowania.

W południowych stepowych okolicach Rosyi znajdują się wilki nieco mniejszej wielkości, zamieszkujące w sitowiach u brzegów wielkich rzek i jezior i wychodzące w porze wylewu tych wód w trawy stepowe. Wtedy to zamiłowani jeźdźcy polują na swych niesłychanie wytrwałych koniach na wilki w następujący sposób. Jeździec taki, uzbrojony tylko w kij, na którego jednym końcu przymocowana jest gałka ołowiana, jeździ w niezmierzonych okiem trawach stepowych tu i owdzie, bacząc pilnie, ażali zkąd wilka nie wypłoszy. Gdy nagle wilk pomknie, a jeździec go spostrzeże, pędzi za nim kłusem bez odpoczynku. Wilk czując się prześladowanym, ucieka, ale ogląda się ciągle za jeźdźcem i z tego powodu wykręca się to w jedną to w drugą stronę podczas, gdy jeździec jak najprościejszą obiera drogę. Sztywny kark wilka przy oglądaniu się, zmusza go do tych zbaczań, więc rychło się nuży, myśliwy zaś ile możności oszczędza siły swego bieguna, a ciągle ma na oku zbiega. Wilk coraz szybciej ucieka, coraz bardziej wątleje, co widząc prześladowca wtedy dopiero konia swego zmusza do wytężonej pogoni, często na 15 do 18 wiostr, dokąd wilk do tego stopnia z sił nie opadnie, iż już prawie wcale umykać nie może, a jeździeć na pięty mu prawie następuje. W tak rozpaczliwej sytuacyi wilk staje lub siada, gotując się do obrony, zwrócony ku myśliwemu, z otwartą paszczą oczekuje natarcia, i pada zwykle od jednego ciosu gałki ołowianej, wymierzonego w głowę. Niebezpieczeństwa niema wprawdzie w takiem zbliżeniu się do wilka, jednak ostrożność polecaną być powinna, wilk bowiem czasem usiłuje rzucić się koniowi na kark, czego jednak doświadczony myśliwy i zręczny jeździec z łatwością uniknąć zdoła. Tylko w ostateczności i nader niechętnie wilk atakuje konia z przodu, wie on bowiem dobrze, że rosyjskie konie stepowe przedniemi kopytami dotkliwsze zadają razy, jak tylnemi. (Dok. nast.).

MYŚLIWI.

— Eh! mnie lepiéj się zdarzyło!
To tak mocium panie było:
Prawdziwa myśliwska sztuka,
Polowaliśmy z naganką
Na lisa i na borsuka.
Ja stanąłem nad polanką,
I tak ci wycelowałem,
Że ubijam jednym strzałem
Lisa, i kulą do płota
Przygwożdżam za ogon kota.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
Byłoż Panie dziwu, było!
Raz zmrokiem, patrzę, na grzędzie
Coś siedzi — okrągłe główki,
Dwanaście kuropatw w rzędzie.
Pakuję stempel do lufki,
Podchodzę z boku ostrożnie,
Paf! i ptaszki jak na rożnie,
Na stemplu — choć smaż u pieca.
To dopiero była heca!

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
W zimie, na dziki to było,
Wytropiliśmy dwa stada.
Jeden warchlak jak szalony
Pod nogi mi panie wpada.
Ja byłem trochę zmęczony,
Przysiadam mu więc na grzbiecie,
Ten rusza, — i co powiecie,
Podwiózł mnie prawie do dworu —
Daję wam słowo honoru!

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
Nie pamiętam, gdzie to było,
Dość, że szliśmy na niedźwiedzie,
Sądzili panie, że zginę,
Bestya prosto na mnie jedzie,
I łapami za czuprynę.
Myślę, co on mnie dotyka!
Tak wytnę mu w sam nos byka,
Aż fajtnął na środek drogi,
Ogon pod siebie i w nogi.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
To już prawie cudem było!
Obnosili mnie jak króla,
Pogłupieli z podziwienia.
Jedna Panie moja kula
Wierci na wylot jelenia,
Z jelenia wpada w zająca,
Wypadłszy na śmierć potrąca
Dwie sarny i lisów kilka,
Wreszcie grzęźnie w pysku wilka.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
To dopiero pięknie było!
Polowaliśmy z obławą.
Słucham — była wielka susza —
W krzakach coś szeleści trawą,
I najwyraźniej się rusza.
Wnet poznałem zwroty dzika.
Bęc! bęc! co to jest praktyka!
Trafiłem w sam łeb sąsiada,
W dwie panie baby i dziada!

M. Rodoć.

FRYC.

Będziem mieli dzień wesoły,
Młody panicz skończył szkoły,
　　Chce na łowy iść.
　　Ale jeszcze *fryc*,
　　Pewnie nie zna nic.
Może nawet nie wie tyle,
Czyli *rogacz* ma *badyle*, *)
　　Czyli lis ma *liść?*
Jeszcze on *przypieka skoki*,
Więc gdy pójdziem w las głęboki,
Dziś się wszystko na nim skrupi,
Aż się przecie nam wykupi.
Spytać go: „Między zwierzęty,
Jaki to zwierz bywa *cięty?*
　　Czem *kot* umie *strzydz?*
　　Gdzie ma *kądziel* żubr?
　　Gdzie ma *kielnią* bóbr?
　　Legawcowi co po *kufie?*
Gdzie kto dojrzał *oka* w lufie?
　　U rogacza *świec?*
Co za ptak *na zgrzebłach* chodzi?
A jaki się z *wiosłem* rodzi?
Kiedy z głuszca zdobycz łatwa?
Kiedy *pyszna* kuropatwa?
Gdzie zwierzęta mają *pióra?*
Jakie *lampy* u *łupura?*
　　Niechby wreszcie zgadł,
　　Gdzie ma *szablę* dzik?
　　Gdzie ma *wiechę* byk?
Gdzie u kuropatw *podkowa?*
Komu jest *latarnią* głowa?
Komu chwastem *kwiat?*
Gdzie *trąbę* mają ogary?
Gdzie odyniec *szarawary?*
　　Albo jaki zwierz
Z strachu *robi krzyż?*"
Słysząc całe to gadanie,
Wyszedł panicz niespodzianie:
　　„Nie lękaj się nic —
　　— Rzekł mniemany Fryc —
　　„Lecz się odtąd ucz,
Bo nie wiecie, gorsze fryce,
Że na wasze tajemnice,
　　Mamy w książkach klucz.
　　Nie tak dziś, jak było dawno,
　　Łowców mowa jest już jawną,
　　A z niej widać, jak przed laty,
　　Że nasz język jest bogaty!

B. hr. Kiciński.

*) Wyjaśnienie w słownictwie łowieckiem W. Kozłowskiego.

WSPOMNIENIA
ALEKSANDRA JEŁOWIECKIEGO.
(Ustęp z pamiętników.)

Nadeszła późna jesień, zaczynały się polowania. U mego ojca było bardzo wielkie myśliwstwo, były też wielkie polowania. Zbliżało się pierwsze dla mnie polowanie na wilki, a że miałem czas nasłuchać się o różnych myśliwskich przygodach, mianowicie z wilkami, więc byłem bardzo ciekawy tego polowania, a zabić starego wilka było to dla mnie jednem z marzeń owego czasu. Pobereżnicy przychodzili codzień z doniesieniem, wiele gdzie jakiego zwierza. W wielkiej brzezinie było gniazdo wilków, pilnowano je jak oka w głowie, nikomu do brzeziny wjechać nie było wolno, chyba nieboszczykowi koniowi albo wołowi, któremi karmiono te wilki, aby szkody nie robiły, żeby prędko rosły i żeby nie spieszyły się na wędrówkę. Na dzień oznaczony zjechało się mnóstwo gości; już się zaczęło polowanie z chartami na małego zwierza, to jest na zające i lisy. W domu huczno i gwarno, hulają, grają w karty, przechwalają swoje strzelby, swoje psy, swoje strzelanie; pełno młodych szaławiłów i starych wyjadaczów, ścierają się jedni z drugimi, śmieją się wszyscy, radzi wszyscy i ja. — Stary Ginowski, sławny myśliwy na całą okolicę zarządzał wielkiem polowaniem, co dzień gdy zmierzchło, jeździł wabić wilki, żeby wiedzieć, gdzie ich legowisko, jak je obrzucić sieciami, co wcale nie łatwo po czarnej stopie. Jeździłem z nim zawsze, bo ciekawy byłem, jak to wilki wyją. Przez parę dni nie odzywały się wcale, trzeciego wieczora wjechaliśmy w inną stronę lasu, a jak pan sędzia miarkował, że wilki już sobie oczy przecierają i zabierają się do wstawania i do umywania się, kazał strzelcowi zawabić. Strzelec podszedł trochę w stronę, gdzie się wilków spodziewał i zawabił przeciągłym wyciem, odpoczął, zawabił raz drugi, za trzecim razem jak się odezwą wilki o paręset kroków za nami, jak zawyją chórem, jak się wycie rozlegnie po lesie, — zdawało się, że całym lasem zatrzęsło, a konie tak szarpnęły wózkiem, że mi aż zęby zadzwoniły. Sędzia rozpromieniał z radości, u mnie serce waliło jak młotem, strzelec wskoczył na bryczkę i słowa nie mówiąc jechaliśmy jak najciszej. Wilki przeskoczyły drogę za nami, a sędzia szepnął: „pohulajcie przed śmiercią“. — Dopieroż radość, jakeśmy wrócili do domu. Wchodzi sędzia. — „A co?“ — „Są!“ — „Wiele?“ — „Ośm!“ — „Niech żyje sędzia!“ — wszyscy krzyknęli, podskoczyli z radości, zatarli ręce, mróz niecierpliwego oczekiwania przeszedł po skórze, każdy opatrywał broń, jak gdyby ją pierwszy raz oglądał. Wydano rozkazy. — Nazajutrz rano czas był spokojny, nie zimny, z lekka mglisty, wyborny do obrzucania wilków, bo liść pod nogami nie szeleszczy. Piętnaście wozów z sieciami pod las podjechało, przy nich stanęło trzystu parobków ze spisami albo z pałkami, żaden słowa nie szepnął. Sędzia objeżdżał na koniu, a za nim stawały sieci. W pół godziny sędzia objechał knieję w koluteńko, i w koluteńko knieja zamknięta, kulec z kulcem. Za sieciami od pola, o dwadzieścia kroków od sieci, a o pięćdziesiąt jeden od drugiego, stoją parobcy, i mają rozkaz odpędzać wilki od sieci, żeby wszystkie od strzelby wyginęły, a gdyby się który wilk uparł do sieci, to go złapać i związać mają Wszystko gotowe.

Po sutem śniadaniu zajeżdżają kocze, koczyki, wózki, wózeczki, bryczki, bryczeczki, wybierają się myśliwi, ten torbę wiesza, ten strzelbę nabija, ten czapki szuka, ten jeszcze szklanicę wyciska jak cytrynę, a wszyscy się spieszą, a każdy się późni. Mój ojciec nie czekając siadł na wózek z panem sędzią i ze mną, i ruszył naprzód — goście widząc, że nie żarty, dalej za nami. Powóz tuż za powozem mknie przez wieś, przejrzał się w stawie, i dalej sunie, aż w lesie wszystkie potonęły. Przed knieją stoją dojeżdżacze na koniach, trzymając pomiędzy sobą 20 swór gończych, gończe rwą się, skaczą, tarzają z niecierpliwości, czasem zaskomli który, ale żaden nie szczeknie. Wysiadamy, idziemy cichutko, wchodzimy w knieję. Rozdzieliliśmy się na dwie części, jedną stroną pan sędzia, drugą mój ojciec strzelców rozstawia. Ja poszedłem za moim ojcem, który mi dwururkę moją z bagnetem opatrzył, nabił, i mnie nie daleko siebie postawił, a odchodząc powtórzył: „oglądajże się, żebyś nie prześlepił, uważaj, żebyś do psa nie strzelił, nie spiesz się, żebyś nie chybił, bo mnie i sobie wstydu narobisz“.

Stoję — wszystko spokojnie, a taka cichość, że słychać konanie zwiędłego liścia. Wtem sędzia na dzień dobry śpiącym wilkom strzelił z moździerza. Zatrzęsły się drzewa i ciągle już drżały, opowiadając jedno drugiemu, co odtąd słyszało. Parobcy odkrzyknęli moździerzowi przeciągłym krzykiem, który dał znać wilkom, że są w oblężeniu. Orły wzleciały nad las i patrzą, kto ich spokojność zamięszał, kruki kraczą wilkom na złą wróżbę; ślepe sowy tłuką się po gałęziach; lis pędzi do nory; zając przypada do nóg strzelcowi, jak gdyby chciał mówić: nie strzelaj do mnie — i znowu cicho; aż tu naraz jak psy zagrają, jak zaczną ujadać, najcudowniejsze brzmienie drzy lasem, wre powietrzem, rozweseliło serca. Nie można się polowania nasłuchać, ucho wytężone, wzrok wciska się na wszystkie strony, serce niecierpliwie bije. Każdy strzał roztrąca się o wszystkie drzewa, i sam donosi, czy zabił, za każdym strzałem psy mocniej ujadają, za każdym strzałem nowa zazdrość w myśliwych, dopóki jej nie złagodzi z ust do ust lecące *„pilnuj!“* — Cały ten hałas zmięszany zbliża się ku mnie, w około mnie latają i psy i lotki, a czasem zatętni coś w gęstwinie, jak gdyby koń ciężki i mignie ogromnym zwierzem. W oczekiwaniu i niepewności serce mi się tłucze, a sam nie wiem, czego chcę, wolałbym, żeby wilk wyszedł na mnie, ale się boję, boję się chybić, bo drzę cały, aż się kolana uginają podemną. Wtem nagle psy zaskowytały, kilka strzałów naraz padło, i ogromnym pędem leci zjajana stara wilczyca, wypada na halawę, i z otwartą paszczą zwraca się ku mnie. Przypuszczam ją jak najbliżej, palę z jednej rurki na sztych, wilczyca w bok, jak palnę z drugiej pod łopatkę, wilczyca w perewerty, wije się śmiertelnym tańcem, i jak gdyby sama dobić się chciała, skoczyła w górę i tak silnie na bok padła, że aż jękneła, nogi wyciągnęła, ogonem się nakryła, język przygryzła. Przybiegłem z bagnetem, zastałem nieżywą, pastwić się nie chciałem. Dopieroż zazdrość i wstyd dla starych myśliwych, co pochybiali, radość i chluba dla mnie. Chcieli mnie *ufarbować* na cześć pierwszego wilka, nie dałem się. I pan sędzia się puszył, bo jak ośm wilków wyliczył, tak ośm na szubienicy wisiało.

Spolowawszy wszystkie knieje w przyległych wsiach, pojechaliśmy do innych majątków mego ojca w powiecie Bałckim. I tu były bardzo piękne a wcale inne polowania stepowe, ale już mnie one nie bardzo zajmowały.

Przepędziwszy kilka tygodni w Odesie, wracamy do domu, bo zbliża się czas polowania. W drodze strzelamy ogromne kulony i wrony morskie nad Limanem, a po stepach orły i co się nawinie. Zajeżdżamy do trzech Dębów i tam kilkanaście dni polujemy po naszych stepach na kuropatwy, kaczki, pardwy, dropie i jarząbki przelotne, do przepiórek szkoda prochu, a bekasów tam nie ma. Najzabawniejsze polowanie na dropie,

i głównie wyjeżdża się na nie, a inne ptactwo, którego jest mnóstwo, strzela się z łaski jak się nadarzy. Kilkanaście jest sposobów polowania na dropie, a każdy na tem zależy, aby się dobrze podkraść, bo to ptak ostrożny; najczęściej używaliśmy sposobu, który mój brat podług nauki wojskowej wymyślił, ale do tego trzeba wielu strzelców, tak jak to u nas bywało. Skoro zoczymy dropie, co pod jesień kupią się w ogromne stada, objeżdżamy je wokoło, od strony, od której one ciąg mają jeden po drugim o półtorasta kroków jadąc rzucamy się z bryczki albo w burzan, albo pod miedzę, albo za kopicę siana, i leżymy nie ruszając się, jeden zostaje na bryczce i wielkim pędem od strony przeciwnej jedzie wprost na dropie, jak dropie dosiedzą, to i on strzela, jak nie dosiedzą, to zrywają się i lecą ławą, prawie zawsze na strzelców; jak zaczynają wymijać, strzelec zrywa się i strzela w dropia, jak w kapuzę, tym sposobem czasem kilka dropi ginie od razu. Czasem i na jednego dropia tak zasiadamy, czasem też na stado pardw, bo to także ostrożna zwierzyna, a dobra. Jak dużo gości, to cały dzień tak jeździmy po stepach, chłodząc się najsławniejszymi u nas kawonami.

W polowaniu na ptaki przedewszystkiem mają pierwszeństwo orły i jastrzębie, bo te łapią kuropatwy, tamte zające; więc jak się zajrzy orła, to zjeżdża się go i zabija. Raz patrzymy na step, a tam coś nakształt koni przechadza się, zbliżamy się, a to orły takie ogromne, dalejże do nich, zerwały się z daleka, ale zaczynają krążyć, poznajemy, że to sępy, a nie mieliśmy lotek Jeden najciekawszy nadlatuje nad wózek, i tylko jedna strzelba była nabita zajęczym śrótem, dają mi tę strzelbę, jak wytnę z jednej i drugiej rurki, trzask, trzask po piórach, zachwiał się sęp, i bokiem, bokiem poleciał na wskos ku ziemi, usiadł, ale aż się zatoczył, my z wózka i za nim, a on już tylko na piechotę zmyka, dobiegliśmy, przytrzymaliśmy kolbami, związaliśmy dziób i łapy, spętaliśmy mu skrzydła; oglądamy, gdzie postrzelony, patrzymy aż i łeb i piersi zakrwawione, ale śrót odbił się od kości, lecz jedno ziarnko naruszyło trochę ostatnią lotkę prawego skrzydła, i sęp dla tego lecieć nie mógł; wsadziliśmy na bryczkę, jedzie sęp na polowanie i dziwuje się. Ten sęp wkrótce wyleczył się i ułaskawił tak, że jadł z ręki i przychodził do pokoju, a był tak piękny i ogromny, jak nigdy nie widziałem ani żywego, ani wypchanego. Sęp ten bawił w naszym domu blisko roku, wyjechaliśmy gdzieś na długo, nie odmienili mu pętów, pęta dawne przerwały się i sęp poleciał; długo jeszcze po swój obiad na mur przylatywał, ale nie dał się złapać, a jak dowiedział się, żeśmy przyjechali, już więcej nie wrócił, bardzośmy go żałowali, bo był dobry sęp, i był ozdobą naszego dziedzińca.

W późnej jesieni zaczyna się uroczyste polowanie na wilki. Kozacy latają z uwiadomieniem, zapraszające listy przychodzą jeden po drugim, ale pierwszeństwo przed innymi ma pan starosta Czeczel. Choć to daleko od nas do Samczyk, bo jest mil ze trzydzieści, jednak, że starosta dawny przyjaciel mojego ojca, jeździliśmy do niego na polowanie prawie co rok. Daj Boże po wiek takiego gospodarza jak Czeczel, taki dostatek, jak u niego, tyle wilków i lisów, tak hojne przyjęcie, tak porządne i wesołe polowanie, które wygląda, jak turnieje i zapusty, i jarmark i kontrakty. — Już się zjechało sto, dwieście osób, a wszystkim wygodnie. Nazajutrz polowanie. Starosta pojechał do kniei, a wszyscy czekają na jego powrót. Kobiety w rannem ubraniu w oknach i na krużganku, młodzież w myśliwskich strojach, a każdy polowanie swoje zamyśla na szczęście tej, którą sobie upodobał. Na dziedzińcu zamiany na broń, na konie, niesłychany hałas. Starosta wjeżdża — i cicho — bo on zawsze uprzejmy i miły, a w dzień polowania srogi, a nikt nie chce mu czoła zmarszczyć. Starosta poważnym ukłonem powitał młodzież z szczerą prostotą, pozdrowił rówienników swoich, a przed paniami zdjął czapkę, zajaśniał rumianem licem, błysnął srebrnym włosem, i słodkiem słówkiem zapytał, „czy panie chcą nam polowanie umilić obecnością swoją?“ — Zajeżdża piętnaście cugów, za nimi dwadzieścia koczów, koczyków, kozacy trzymają ze czterdzieści wierzchowców, wszystko to czeka, aż panstwo zjedzą śniadanie. Starosta dał znak, zajeżdżają. Kobiety szczebiocąc siadają, starosta podając im rękę mówi, że w kniei szczebiotać nie wolno. Powozy jedne za drugiemi wyruszyły z dziedzińca, starosta i jego przyjaciel podkomorzy Kamiński wyprzedzili je na koniach. Zbliżając się do lasu taka cichość, jakby jechali po śniegu, jakby się wszyscy pospali, czasem tylko jeździec zatętni, a wilkom śni się, że to im koń jaki idzie na wieczerzę — poczekajcie no, a zobaczycie, co wam starosta na obiad przygotował.

Na najlepszem stanowisku panie zajęły kobierce i krzesła. Podkomorzy rozstawił strzelców, obiegł knieje, nakazał baczność i wraca do starosty, który go przy paniach czeka cierpliwie, bo mu wesoło. Starosta odezwał się dyarkantem, i wszyscy poznali trąbkę jego, a głos jej jak śpiew dziewicy przez uszy wniknął do serca, aż serce zadrżało i chce się wyrwać tam, zkąd głos wdzięczny przez powietrze płynie i szumi rozgłosem po lesie, brzęczy i rozbija się po jarach.

Psy wpadły na gniazdo wilków i nagle poczęły ujadać, wrą jak w kotle — wilki całem gniazdem uderzyły na sieci, odpędzone latają pomiędzy strzelców, a tu nie wolno strzelić, póki nie wypalą z moździerza, a moździerz czeka, póki wilki nie przeciągną poprzed panie nasze. Moździerz wypalił — wilki rozpierzchnęły się po kniei — dopieroż *paf*, *paf*, *na cu cu*, *na cu cu*, — chybiłeś bratku! Huk strzałów, wrzawa dojeżdżaczów, odgłos harapów, granie psów wre w powietrzu cudownem brzmieniem polowania; krew myśliwca prędzej krąży, serce mocniej bije, oko lepiej widzi, ucho czujniejsze jak zawsze. Strzelono sto razy, już nie ma wilków, — jeszcze tu i owdzie psy pogonią, poznają, że to tropy nieboszczyków, i utną; jeszcze ujadają za lisem, pogonią zająca na oko, nakoniec wszystko ucichło. Strzelcy zchodzą się chwalić zdobyczą swoją, dopieroż śmiechy z tych, co pochybiali, co prześlepili, z tych, komu strzelba nie wypaliła, — a nic się nie ukryje na polowaniu, bo każdy ma dwóch zazdrośnych sąsiadów. Ściągają zwierzynę: sześć wilków, cztery lisy — starosta krzyknął: — a gdzie reszta, było jedenaście, żaden nie wyszedł, zakładaj psy. — W tem mój ojciec nadchodzi i mówi: „są wszystkie, oto mój jeden, a resztę moi chłopcy postrzelali“. — Ja zabiłem dwa. Rad starosta, myśliwi zazdroszczą, kobiety chwalą, a jak kto oglądał nasze wilki, chcąc niby poznać i dowodzić, że postrzelił, mówiliśmy mu: ten sam, do któregoś chybił.

Po polowaniu strzelamy jeden drugiemu w lot do czapek i rękawiczek, żeby psy zwabić; dojeżdżacze grają pojezdnego w dobrane trąbki, a my ze śmiechem i hałasem wracamy do Samczyk.

Takie to polowanie powraca co rok około 20 Września, a trwa dni dziesięć. Ktoby chciał mieć chińskie wyobrażenie tego polowania, jadąc szlakiem wielkim z Dubna do Starego Konstantynowa, niech wstąpi do pięknej wsi Kołki podkomorzego Kamińskiego. Tam we dworze będzie gościnnie przyjęty, jak ja kiedyś, zobaczy karego, pięknego stępaka, co pod-

*

komorzy ma odemnie, i malowidło wyobrażające polowanie w Samczykach. Jest to obraz w swoim rodzaju jedyny, robiony na urząd; tam wszystko nie tak, jakby malarz rozumiał, ale jak podkomorzy chciał. a chciał, żeby był las i żeby było wszystko widać, co jest w lesie, i wszystkie wilki, i wszystkie psy, i wszystkich strzelców, i wszystkie sieci, i starostę strzelającego do wilka, i podkomorzego jednego na koniu, drugiego takiego samego wlokącego wilka zabitego, i mego ojca, i rozmaite przygody myśliwskie, i nakoniec grono pięknych dam. Więc choć w Chinach nie był, wymyślił chiński sposób, poustawiał wszystko w piętra, i tak jak chciał, wszystko widać, i wszystko poznasz, jak ci podkomorzy rozpowie, i powiesz, że wszystko nie tylko bardzo podobne i piękne, ale jeszcze doskonalsze jak żywe, bo czyżbyś chciał zmartwić Polaka w kontuszu? Poczciwy podkomorzy całą zimę poluje, a całe lato patrzy z rozczuleniem na ten obraz, gdzie widzi swoich przyjaciół i polowanie, chciałby jeszcze, żeby z tego obrazu słychać było strzelanie i trąbkę i psy gończe, ale sztuka nie wystarczała uczuciu.

Z polowania od Czeczela wracaliśmy spiesznie do siebie, aby wypolować swoje i okoliczne knieje, bo goście sproszeni, a czas bliski. Tak polujemy całą jesień po kniejach z gończemi i na obławę, po rudach z gończemi na lisy, po polach z chartami na wilki i lisy, i na zające, ale tylko po czarnej stopie, bo po śniegu nie sztuka. Mieliśmy najwyborniejsze charty do wszystkiego.

W polowaniu nie masz piękniejszego obrazu, jak szczucie starego wilka. Jak lisa z tyłu, tak wilka szczuje się w oczy, kiedy się wymyka z kniei lub z burzanów. Jak wilk tęgi a charty nie zuchy, to udają, że wilka dopędzić nie mogą, a gdy śmiałemi poszczujesz, mały chart skubnie i odskoczy, wielki porwie za szarawary, sunie się za wilkiem, nadbieży drugi i trzeci, i wilka osadzą. Wilk odcina się jak może, czasem skaleczy charta, chart zaskomli i w nogi, a czasem chart zepnie się z wilkiem i wilka powali. Najtęższy chart rzuca się wilkowi na kark, chwyta za ucho, dwa albo trzy tęgie wilczarze osadzą tak wilka, że wilk ani ruszy, dopiero kto najbliżej, albo spisą wilka kole, albo trzonkiem od harapa grzmotnąwszy w nos zabija, albo pali mu w łeb z krucicy, albo wiąże go smyczą jak barana. Związanego wilka zamyka się do owczarni, żeby wąchał to co lubi, a nazajutrz dawszy mu skobel w zęby, szczuje się go młodymi chartami. Najczęściej wilk ucieknie, kiedy za wiele chartów, bo jeden drugiemu przeszkadza. — Raz szczuliśmy starego wilka, kiedy było wiele gości, każdy chciał ze swoimi chartami popisać się, wszyscy spuszczają ze zmyczy. Charty otoczyły wilka, wilk z nimi w perewerty, co przytrzymają wilka, ani przystąpić do niego, ani strzelić, bo na około charty, a wilk odciąwszy się na lewo i na prawo, wyrywa się i już pod lasem, już tylko ma rów przesadzić i byłby przepadł. Miałem tęgiego konia, zabiegam od rowu, charty wilka znowu przytrzymują, zeskakuję i puszczam konia, a wilk wyrywa się i obces na mnie, umknąłem lewą nogę, wilk przemyka, a ja kindżałem dźgnąłem go pod łopatkę, i wilk powalił mi się pod nogi; inaczej wilk byłby uciekł, choć pomiędzy hurtem były tęgie charty.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na wilki, a to uganiając je końmi, to się udaje na stepach, a najlepiej w zimie po miękim śniegu. Wołochy najwięcej tak polują, a jeden z naszych Wołochów jednej zimy czternaście wilków zabił tym sposobem. Zoczywszy wilka pędzi się za nim, ale nie bardzo, wilk topi się w śniegu, więc mu ciężko, a za nim goni się tak, aby nie spoczywał, i aby go z oczów nie stracić. Jak wilk zaczyna się oglądać, to koniem napiera się na niego. Jak wilk zaczyna śnieg chwytać, to już źle z nim, wtedy napiera się go coraz bardziej, wilk przysiada, wreszcie znużony kładzie się, i nie ma już siły ukąsić, wtedy mordujesz go, jak on ci owce mordował. I po czarnej stopie można tak wilka ugonić, ale trzeba znać przechody wilcze i wiedzieć, którędy będzie biegł. Rozstawiwszy się na kilku koniach, podaje się go jeden drugiemu i goni się go nagle, to czasem na końcu pogoni wilk w biegu skostnieje, i pada nieżywy. Najprzyjemniej jest wilka pierwszym pędem dogonić, i albo go arkanem złapać, jak robią Kałmucy, albo w pędzie zabić z krócicy, jak mi się raz wydarzyło, ale trzeba mieć konia po temu, a taki koń jeden na tysiąc.

W ciągu polowań naszych co dzień z rana albo tropią wilki, albo je wypatrują, albo do lasu naganiają, i podług tego polowanie. Pewnego razu dano znać, że trzy wilki zaległy w burzanie, a była ziemia mroźna i tylko gdzie niegdzie śnieg przyprószył. Na takie pole charty pazury zrywają, a mój koń ani kuty, bo to Czerkies, nie było co robić, jedziem z chartami. Rozciągnęliśmy się ławą na ćwierć mili, najlepsze konie na skrzydłach. Ja na prawem, a wilki ruszyły z lewego skrzydła, dwa wykradło się gdzieś burzanami, a jeden wysworował się gdzieś na goły step, co zwolna podnosił się, jak gdyby na to, żeby było dobrze widać, co się na nim dzieje. Wypuszczam mego bieguna a był to biegun nad biegunami, wymijam jeźdźców jednego po drugim, wymijam charty, doganiam wilka, co był w całej sile swojej. wilk wpada na sugłuwek — ja za nim — coraz bliżej — równam się z wilkiem — nachylam się ku niemu i strzelam — wilk się wywrócił — ja z konia — wilk w nogi — ja na konia, a drugiej krócicy nie miałem. Wilk farbuje po śniegu, stratowałem go koniem raz i drugi, aż mój brat dobiegł i swoim strzałem powalił go na ziemię.

Do polowania miałem wielkie szczęście, mianowicie na wilki, zabijałem po dwa wilki jednego po drugim, jakby dwa bekasy, a raz na na jednem stanowisku w pół godziny zabiłem pięć wilków, wszystkich było sześć, a strzelców ze trzydziestu.

KORESPONDENCYE.

Do mojej korespondencyi z daty: Stary Sącz 7 kwietnia 1879 r. w Nr. 6 „Łowca“ umieszczonej, dodaję co następuje: Józef Witowski postrzelony przez Michała Joba, żył jeszcze przez trzy tygodnie, w tym czasie bardzo mało mówił i po największej części leżał bez przytomności — podziwiać tu tylko należy tak silną naturę naszych włościan. Michał Job skazany został przez sąd obwodowy w Nowym Sączu §. 335 Ust. kar. na kilkomiesięczny ścisły areszt. W końcu nadmienić muszę, że tego roku będzie w naszych okolicach dosyć zwierzyny, zwłaszcza kuropatw i zajęcy, co zaś do ostatnich, muszę wspomnieć, że gwałtowne wystąpienie rzek, Dunajca i Popradu ze swych łożysk, w nocy z 28 na 29 Lipca powstałe w skutek nagłych i ulewnych deszczów, zniszczyło znaczną ilość młodych zajęcy, będących w wiklinach, które się ciągną w zdłuż rzek.

Myśliwi opowiadali mi, iż widzieli, jak lis chwycił młodego zająca, a w chwili gdy go począł za kark dusić, przyszła

woda, i obu zabrała. Widziano następnie, jak lis siedząc na zającu, popłynął na dół Popradem. *J. S.*

Tylokrotnie już w „Łowcu“ mówiono o lisie na drzewie, do tych podań dołączę zdarzenie z własnego doświadczenia, które również może zainteresować. Syn właściciela Kopeczyniec polecił mi wytropić na ponowie lisa, na któregoby z gończemi mógł zapolować, a psy owe miały tę cnotę, że lisa doskonale goniły. Wkrótce straż leśna otropiła w istocie lisa w pewnym miocie. Wnet wybieramy się na polowanie, stawiam właściciela lasu na tropie, dwóch jego strzelców po lewej stronie, sam zaś staję na prawem skrzydle. — Psy puszczone w miot gonią za gęsto ruszonym zającem, a tymczasem lisiura wykrada się i idzie na właściciela, który go spostrzegł w oddaleniu może 200 kroków, lecz strzelić nie mógł, bo lis zwrócił się i wyszedł na mnie na 60 do 70 kroków. Strzelam, trafiam go w bok i gruchoczę mu lewą łopatkę. Po strzale posunął się lis w gęste krzaki, więc powtórnie strzelić nie mogłem. Po chwili zjawił się jeden pies, poszedł za tropem i wnet na miejscu począł ujadać. Słońce już zapadło, śnieg po brzuch prawie — a tu trzeba iść za głosem psa, bo byłem pewny, że lis już leży, kiedy pies na miejscu naszczekuje. Idziemy jednak, i przybywszy na miejsce, widzimy że pies mordę wsadziwszy w wydrążony pień ogromnej lipy ciągle naszczekuje. Obchodzę lipę w koło, w końcu przekonuję się, że inny lis w nocy wewnątrz lipy się rozłożył, i w niej pozostał. Nawołuję, trąbię, przybiegają dwa psy, sworuje wszystkie trzy, i wzywam właściciela i jego strzelców co rychlej na to dziwne polowanie, bo zmierzchać się już dobrze poczynało. Mimo perswazyi, iż to mojem jest urojeniem, jakoby lis wewnątrz lipy się znajdował, postanowiłem strzelić w to wydrążenie, sądząc, iż lis albo śmiertelnie ugodzony spadnie, lub przerażony strzałem i wykurzony dymem w celu ucieczki, na dół się spuści. Po strzale i chwili wyczekiwania słyszymy, że lis drapie się w górę, i na wysokości może czterech sążni ciśnie się w grubą, również wydrążoną odnogę lipy. Nie wiedziałem co robić? wreszcie każę psiarzowi wyciąć spory kół grabowy, i wdrapać się na drzewo, aż do owej odnogi, co też uczynił bezzwłocznie. Gdy już był na górze, spostrzegł nos lisa, który wystawił zapewne dla pochwycenia czystego powietrza. Na oznajmienie jego o tem, każę mu kołem uderzyć w lisa, aby go zmusić do spuszczenia się na dół. Jakoż w istocie lis się znacznie zsunął, lecz z wydrążenia nie wychodził. Zrzucam surdut, wciskam się w dziurę, wznoszę obnażoną rękę w górę, i — chwytam lisa za kitę. Napróżno właściciel upomina mnie, bym niechcąc narazić się na kalectwo w skutek ukąszenia puścił lisa, owszem ciągnę go z całej siły, lecz lis zapewne chwycił się zębami korzenia i ani na krok w dół się nie usuwa. Wtedy proszę właściciela, by wsunąwszy strzelbę po mojej wzniesionej w lipie ręce, palnął do upartego mekity. Tak się też stało, i po chwili spadł lis przestrzelony na wylot.

Opowiedziany wypadek wygląda na Münchhauzenowską fantazyę, a jednak w zupełności jest prawdziwym, i w każdej chwili świadectwem obecnych przy tem wydarzeniu osób może być stwierdzony. Myśliwstwo zaprawdę nieraz nadzwyczajnemi i cudownemi niemal wzbogaca się doświadczeniami. *F. S.*

Stanisławów 15 Czerwca 1879.

Ośmielam się podać do wiadomości naszych myśliwych niektóre własne moje doświadczenia, szczególnie odnoszące się do psa legawego, którego dresura, prowadzenie i pielęgnowanie są niezbędnym warunkiem owych przyjemności, jakich ów prawdziwy przyjaciel i wierny towarzysz myśliwemu dostarcza.

Chcąc mieć dobrego legawca, trzeba rasy krzyżować, najlepiej angielską z czeską, temperament bowiem pierwszej jest gorący, drugiej zaś flegmatyczny. Zresztą dosyć ostry nasz klimat nie bardzo sprzyja psu czysto angielskiej rasy, zbyt wrażliwy na zmiany powietrza podlega on z tego powodu wielu chorobom. Po dokonanem związaniu, co najodpowiedniej na wolnem ale zamkniętem miejscu odbywać się powinno, należy natychmiast sukę zamknąć, a tylko pan jej wyprowadzać ją powinien codziennie, w przeciwnym bowiem razie łatwo pies jaki mógłby się z nią związać, i płód zepsuć. Związanie trzykrotne, z jednym i tym samym psem wystarcza, poczem sukę przez 14 dni trzeba trzymać w zamknięciu. Tym tylko sposobem można być pewnym szlachetnego potomstwa. Rozszerzone mniemanie, iż pierwsze młode bywają nic nie warte, jest zupełnie mylne, przeciwnie, pierwsze są zwykle najpiękniejsze i najsilniejsze, bo matka jest młodą, zdrową i pełną siły.

Ponieważ suka dwa razy do roku miewa młode, to czuwać nad nią należy, i skoro grzać się poczyna, zamknąć natychmiast na 14 dni, dawać jej kilka razy środki przeczyszczające, zawsze świeżą wodę, a w niej kawałek siarki, co wszystko nie przeszkadza używaniu z nią przyjemności myśliwskiej. — Z tego powodu niemożna powstrzymywać sukę od związania, coby nader szkodliwie działało na jej zdrowie. Ja sam omal z takiej przyczyny nie straciłem najszlachetniejszej wyżlicy, dostała krost, zapadła ciężko, i tylko umiejętne starania weterynarza ocaliły ją.

W celu rozkrzewienia na długi czas psów szlachetnej rasy, rozdarować można psięta obu płci, ale tylko osobom takim, które niezawodnie je starannie prowadzić i pielęgnować będą, a zwłaszcza co do suk ściśle się trzymać powyższych przepisów.

Szlachetne to zwierzę może być w następujący sposób najodpowiedniej wychowane. Nie ma wcale potrzeby dręczyć je w pierwszej młodości dresurą, dopiero w ósmym miesiącu można ją rozpoczynać sposobem igraszki *aportowaniem*, przedmiot wszakże do tego użyty nie powinien być miękki, owszem zawsze twardy, kawałek drzewa lub kula, i tak postępuje się przez kilka miesięcy, następnie przechodzi się do *warowania*. Należy pieska łagodnie i zwolna ku ziemi przyciskać, pewien przedmiot położyć przed nim o 2 lub 3 stóp, wskazać mu go i mówić *pójdź dalej!* a przytem głaskać. Jeżeli tej komendy nie rozumie, posuwa się psa zwolna naprzód i mówi: *waruj!* głaszcząc go ciągle. Po kilkakrotnem powtórzeniu tego procederu, mówi się mu: *pif! pif!* a gdy sam przedmiotu nie pochwyci, otwiera mu się pysk, i wkłada weń ów przedmiot, poczem siedzącego głaszcze się, przytrzymuje ręką pysk, a w końcu mówi się *puść!* Trzeba to kilkakrotnie powtarzać, a jeżeli pies sam przedmiotu z pyska nie wypuści, należy wyjąć mu go, ciągle głaskać, a jako nadgrodę dać kawałek chleba. Taka nauka ponawianą być powinna co dzień. Warowanie i posuwanie się naprzód najodpowiedniej odbywać przed południowem karmieniem. Pełna misa stoi na ziemi, pies o półtora sążnia przed nią waruje, a na głos: *pif!* skacze ku niej, lub zwolna się tylko posuwa, albo wreszcie przynosi jeszcze przed tem *aport*, a ciągle jest przez pana swego głaskany i karesowany.

Sposób wyuczenia *szukania zguby* jest najlepszy taki: Wchodzi się bez psa do pokoju, kładzie na sprzętach małe ka-

wałki chleba, przykrywa je czem, przywodzi psa, daje mu się powąchać kawałeczek chleba, chowa się go do kieszeni, okazuje gołą rękę ze słowami: *szukaj zguby!* i wskazuje ręką miejsca, gdzie ma szukać. Pies biega wszędzie, a jeżeli ma ostry wiatr, znajduje natychmiast jeden kawałek chleba, który wszakże nie wolno mu zaraz zjeść, lecz dopiero po dobrej chwili śród nieustannego głaskania. Tym sposobem zachęci się do szukania innych kawałków, zrozumie, o co rzecz idzie, aż wreszcie wszystkie znajdzie i z zadowolnieniem z powodu dobrze spełnionej powinności zje. Często to powtarzać należy, ale zawsze umieszczać chleb dosyć wysoko, aby pies nienauczył się wietrzyć z spuszczonym do ziemi nosem lecz miał go zawsze przy szukaniu podniesiony, przez co łatwiej mu się potem zapach zwierzyny do nosa dostaje. — Często trzeba z psem wychodzić na świeże powietrze, rzucać kawałki chleba w trawę, odejść z nim kilkadziesiąt kroków, zwrócić się potem wraz z psem ku mniemanej zgubie, aby wiatr podał mu ślad jej, i kazać szukać. Gdy się już do chleba zbliży, niech przed nim waruje, dokąd pan jego się nie zbliży i nie powie *pif!* i nie pozwoli śród głaskania zjeść. Przy tej dresurze dobrą usługę robi biczyk, który się często psu wskazuje, trzaska się nim, ażeby pies miał go w pamięci i lękał się go, ale pod żadnym warunkiem nie wolno nim młodego pieska bić, zwłaszcza rasy angielskiej, która jest nerwową, lękliwą, i tylko bardzo łagodnem prowadzeniem może być pomyślnie wychowywaną, gdy przeciwnie bicie wytwarza w niej nadmierne przerażenie, a w skutek tego upor lub chęć do ucieczki i wstręt do pana. — Pies tej rasy dobrze prowadzony posłusznym jest najlżejszemu głosowi, nawet skinieniu, więc temperament gniewliwy, niecierpliwy nigdy takiego psa nie wykształci, owszem zepsuje na zawsze, czyniąc go upartym, nieczułym i głupim.

Co do czystości i zachowania zdrowia u psa następne mogę polecić wskazówki:

1. Pies po opuszczeniu matki, ma przy panu leżeć zawsze na dwa razy złożonym kocu, w przeciwnym razie wycierają mu się włosy u nóg i tworzą na nich brzydkie nagniotki.

2. Należy codziennie kurz z psa twardą szczotką zebrać, przyczem szczotkę na ostrym kancie deszczułki od kurzu uwalniać. Szczególnie zwracać trzeba uwagę na uszy i kończyny ich. Jakkolwiek u psów angielskich bardzo krótki znajduje się na nich włos, to jednak gromadzi się w nich kurz, zresztą pies, choćby miał bardzo małe uszy, macza je w misie z pokarmem, przez co mianowicie kończyny uszów kurzem i tłuszczem się zalepiają. Wtedy przeziewanie skóry ustaje, pies poczyna uszami kłapać, bo czuje świąd, a wreszcie, gdy się je nie oczyszcza, zagnieżdża się w nich robactwo, ukazuje się ropienie, a biedny pies cierpi, i w końcu potrzebuje formalnej kuracyi.

3. Wiadomo, jaką plagą dla psów są pchły, zwłaszcza w lecie. Taki pies nie śpi w nocy spokojnie i budzi swego pana wyskrobywaniem pchłów, których jednak na grzbiecie, głównego ich siedliska dosięgnąć nie zdoła. Kto przywiązany do swego psa, użyje do uwolnienia go od tej plagi bardzo prostego sposobu: W misie napełnionej do połowy zimną wodą zanurza się grzebień, skrapia się nim obficie całego psa a szczególnie grzbiet, i czesze z góry na dół. Pchły pozostające na grzebieniu strzęsa się do wody, i czyni się to tak długo, dokąd pchły się jeszcze znajdują. Po wyczesaniu woda zabarwia się krwią, którą pchły z siebie wyrzucają. — Inny bardzo dobry sposób podał „Łowiec“ w 8 Nrze z. r., który to dla użytku miłośników psów powtarzamy: Jedną część białego krystalicznego kwasu karbolowego rozpuścić w 200 częściach ciepłej wody. Rozczyn ten wygubia wszystkie pchły. Psy trzeba miękką szczotką, zanurzoną w tym płynie, nacierać, a legowisko nim skrapiać. Wyziew tego płynu jest wprawdzie ostry, ale wcale nie szkodliwy dla oczów.

W końcu zwracam uwagę na grzyb zwany *porchawką*. Grzyby te należy, skoro dojrzeją starannie zbierać, wstrzymują one bowiem najskuteczniej przy skaleczeniach upływ krwi, i łagodzą ból. Przy małych skaleczeniach posypuje się tylko ranę proszkiem ich, przy większych przecina się grzyb, kładzie na ranę i obwiązuje, poczem często już w pół godziny następuje znaczne polepszenie.

Często myśliwi, szczególnie zapamiętali na polowania błotne, doznają reumatycznych cierpień. Tym polecić możemy bardzo prosty a niezawodny środek. Część ciała cierpiąca smaruje się dobrze białkiem jaja, i powtarza to smarowanie trzy razy przez dzień, obmywszy poprzednio zimną wodą z mydłem. Po nasmarowaniu w minucie powierzchnia ciała zupełnie wysycha, pokrywa się nader delikatną powłoką i nie dopuszcza wpływu zewnętrznego. Zupełne wyleczenie następuje bardzo szybko. *P.*

Nieznana Biblioteka. — Czytamy w „Jagdzeitung“ z 31 Maja, gazecie wychodzącej w Wiedniu, co następuje: „*Fürst Schwarzenbergs Forstbibliotek ist nach dem Geständnisse von Fachmännern und Gelehrten ein* unicum *in seiner Art und eine wahrhaft fürstliche Sammlung*“.

Podzielając zupełnie zdanie powyższe o wartości książęcego księgozbioru, pozwolę sobie tylko porównać go z inną, bardzo mało znaną biblioteką tego rodzaju, znajdującą się u nas w kraju a zebraną skrzętnością, zamiłowaniem do nauki i nieporównaną wytrwałością męża wysoko wykształconego w swym zawodzie. Mam tu na myśli pana Franciszka Reichard de Reichardsperg, dyrektora lasów ordynacyi łacuckiej w Dąbrówkach.

Słyszałem już dawno o zebranej przez niego bibliotece leśnej i łowieckiej; chwalono ten zbiór jako nadzwyczajnie cenny, pragnąłem więc przekonać się osobiście o wartości jego. Odwiedziłem pana Reicharda, który z właściwą mu uprzejmością nie jedną godzinę spędził ze mną w bibliotece pokazując mi ją we wszystkich szczegółach. Przegląd ten przeszedł moje oczekiwania. Wiedziałem, że zastanę bogatą, pięknie urządzoną bibliotekę, ale nie spodziewałem się znaleść takiej ilości, takiego kompletu dzieł polskich i niemieckich od najdawniejszych do najnowszych — szczególnie co do dawnych druków można nazwać tę bibliotekę *unicum*, jedyną w swoim rodzaju; a że moje twierdzenie nie wypływa tylko z chwilowego uniesienia, dowodzą wymowne cyfry:

Biblioteka leśna księcia Schwarzenberga, tyle razy opisywana i wspominana, sławna nie tylko w Czechach ale w całej Austryi i Niemczech jako najpiękniejszy, najzupełniejszy i jedyny księgozbiór w swoim rodzaju, zawiera według dzieła wydanego w r. 1878 pod tytułem: *Der Böhmerwald und seine Umgebung*, 540 dzieł w 1190 tomach a najdawniejsze druki nie sięgają dalej jak po wiek XVI. Biblioteka p. Reicharda składa się z 3,100 tomów czyli 1,640 dzieł, zawiera najrzadsze i najstarsze druki: niemieckie od 1487 roku; polskie od 1565 roku. Biblioteka ta wyłącznie leśna i łowiecka, obejmuje wszystkie gałęzie mające styczność z gospodarstwem lasowem i łowiectwem — szczególnie pierwotne edycye dzieł o lasowości i myśliwstwie w takim komplecie zebrane, że największa i najstar-

sza biblioteka leśna akademii w Neustadt-Eberswald w Prusiech, która na wystawę powszechną w Wiedniu 1873 roku wydrukowała katalog, porównania wytrzymać nie może co do rzadkich dzieł i inkunabułów z biblioteką p. Reicharda. Znajduje się tu bowiem niejedno dzieło, jak się naocznie przekonałem, o którem uczeni piszący o historyi literatury leśnej wspominają, przytaczając tylko tytuł i rok pierwotnego wydania z ubolewaniem, że dzieła te są całkiem zatracone i w żadnej bibliotece ani u żadnego antykwarza już się nie znajdują. *(Es ist zu bedauern, dass sie nirgends zu treffen sind)*

Że książę Schwarzenberg, rozporządzający takiem mieniem i rozlicznemi środkami, że akademia w Neustadt-Eberswald jako zakład publiczny mogła zebrać prawdziwie cenne materyały, nie dziw; że jednak człowiek prywatny nie posiadający tych zasobów, żyjąc zawsze na wsi w ustroniu — zebrać umiał skarby, które przewyższają, jak to widzieliśmy, zbiory innych tego rodzaju bibliotek, tego dość podziwiać i dość pochwalić nie można.

Biblioteka, której pierwsze zawiązki datują się z r. 1860, mrówczą tylko skrzętnością i ciągłem mozolnem szperaniem i nauką stała się tem czem jest dzisiaj. Na moje zapytanie pokazał mi p. Reichard stosy katalogów i korespondencyi dowodzących, że zdobywał mozolnie książkę po książce u antykwarzów całej niemal Europy.

Oceniwszy bez przesady to dzieło wytrwałego zamiłowania zawodu i nauki, nie mogę się oprzeć trosce, jaki może być w mniej więcej dalekiej przyszłości los tego tak szacownego zbioru? Najsamprzód wspomnę, że nie bez pewnej obawy widzę tę bibliotekę umieszczoną w drewnianym domu; chciałbym ją widzieć w murowanym bardziej ubezpieczonym budynku.

Ale wzgląd na przyszłość głównie mnie zajmuje. Z czasem biblioteka tak bogata mogłaby się dostać jakiemu zakładowi zagranicznemu, albo rozprószyć się po różnych bibliotekach bądź publicznych bądź prywatnych. W jednym i drugim przypadku byłaby to wielka szkoda. Pragnąć należy, żeby nieoszacowany ten zbiór stał się własnością kraju; sądziłem, iż należy zwrócić na ten skarb uwagę władz krajowych a szczególnie Wydziału krajowego jako zwierzchnika rozwijającej się z każdym rokiem tutejszej szkoły leśnej, niemniej wszystkich zamożnych obywateli, mianowicie pp. ordynatów, w których mocy jest niedopuścić, żeby tak cenny zbiór dostał się zagranicę. Byłabyto strata zaiste niepowetowana.

KRONIKA.

Busk, 22 Czerwca 1879.

W dniach 17—20 t. m. przyleciało na łąki nad Pełtwą kilka stad bocianów w liczbie conajmniej kilkuset sztuk. Bociany dotąd nie odleciały. Mieszkańcy muszą je spędzać z pól i łąk, na których deptaniem wielką wyrządzają szkodę. Jak wytłumaczyć to zjawisko w porze, w której młode jeszcze nie latają. Może to luźne samce, lecz w takim razie liczba ich byłaby za wielką. Czy też gdzieindziej również zdarzyło się to dotąd nieznane mi zjawizko? *Mojseowicz.*

Bilcze, 22 Czerwca 1879.

Na użalenie się p. M. Ostrowskiego w korespondencyi Nr. 6-go „Łowca“. że polowanie w lasach Bilczeckich w r. 1878, podczas którego ubito 600 sztuk zwierzyny, przyczyniło się wielce do lichego stanu zajęcy w lasach Skalskich, jestem zmuszony odpowiedzieć, aby rzecz należycie wyjaśnić. Lasy należące do klucza Bilczeckiego zajmują obszar 3105 hektarów. Jeżeli przeto po trzechletniem niepolowaniu w tych lasach ubito w trzech dniach w 12 strzelb 600 sztuk zwierzyny, to polowanie takie chyba niemyśliwy nazwie: r z e z i ą. Zapewniam szan. korespondenta, że podczas wymienionego polowania można było ubić nie 600 lecz 1200 sztuk, gdyby polowano we wszystkich częściach lasu.

Tej zimy nie polowaliśmy zupełnie na zające i kozły, a jeżeli w następnej zimie polować będziemy, to niezawodnie r z e ź będzie jeszcze straszniejszą, niż w r. 1878.

Polowaniem w naszych lasach nie wyniszczamy zwierzyny i zapewniam sz. korespondenta, że zwierzostan z każdym rokiem będzie się powiększał — bo też staramy się usilnie o racyonalne prowadzenie łowiectwa. *S. Piotrowski.*

Donosi nam znany myśliwy i nadzwyczajny strzelec p. Tadeusz Kownacki, niemając dosyć słów i pochwał dla sztućca *expresse*, i radzi, by każdy dobry myśliwy takowy posiadał. Jest to szczyt wymarzonych cnót i zalet.

Kupiwszy takowy w Wiedniu, powrócił z nim do domu, gdzie następnego dnia na tokowisku ubił cietrzewia na 121 kroków, drugi strzał do sępa płowego *Vultur fulvus* na kroków 100 i tegoż samego dnia do drugiego na kroków 163. Wszystkie bardzo celne.

Niziny, 3 Lipca 1879.

Dnia 4 Czerwca r. b., złapali chłopi w Borkach sępa kasztanowatego *(vultur cinereus)*. Spostrzegli go na pastwisku gminnem, gdy siadł na karku świni i wbiwszy szpony w tenże, walił swoim krzywym olbrzymim dzióbem w sam środek łba; chcąc się jak najprędzej dostać do mózgu. Przerażona świnia uciekała wraz z sępem na swym grzbiecie. Włościanie puścili się w czwał za tą dziwnie złączoną parą zwierząt, i dopędziwszy ją pojmali żywcem oprawcę. Posiada go obecnie p. J. Moese, c. k. geometra przy komisyi reambulacyjnej i żywi dosyć kosztownie, sęp bowiem zjada codziennie 1 kilogram świeżego mięsa i wiele tłuszczu (szczególnie niesolone masło, słoninę i t. p.), w celu ofiarowania gabinetowi Uniwersytetu Jagiellońskiego. Obawiając się, iżby w porze upałów w drodze nie zginął, prześle go dopiero w jesieni. Wysokość jego wynosi 60 cm. Jest ponury, leniwy i ociężały.

R. Rydel.

Rawa ruska, 5 Lipca 1879.

Posyłam do Muzeum hr. Wł. Dzieduszyckiego, gołębia, który jako dziki zastrzelony został w Hołem rawskiem, majętności p. Łączyńskiego. Gołąb ów, podobny do dzikiego, zasługuje na szczególną uwagę z powodu znaków farbą analinową na obu skrzydłach wybitych. Na piątem piórze sterowem prawego skrzydła znajduje się zupełnie wyraźnie: 1878. Poprzedza go cyfra 347. Na drugiem i trzeciem piórze skrzydła lewego wybity farbą ceglastą hełm, używany w armii rosyjskiej, tak zwana pikelhauba zupełnie wyraźnie, następnie na czwartem i piątem piórze znajduje się odbity napis ВАН (znaczy Wan). Przed В znajduje się próżne miejsce, mogące jedną pomieścić literę, przed tem zaś miejscem widoczną jest litera Р, którą znowu poprzedza Б (ruskie B). Najwyraźniej można odczytać na lewym skrzydle ЕРИВАН (Eriwan), gołąb jest pocztowy i najprawdopodobniej pędzony przez jastrzębia, stracił kierunek. Nie ulega wątpliwości, że po wypoczęciu trafiłby na miejsce przeznaczenia. *M. Müller.*

Zarząd Muzeum składa za ten dar powinną podziękę.

P. Ostrzechowski z Krukienic, znany nam jako bardzo dobry myśliwy i strzelec, przysłał c z a r n e g o ł a b ę d z i a *Cygnus atratus*. Ubił go sam na błotach w Burczycach ruskich. Ojczyzną tego ptaka jest nowa Hollandya i niepodlega najmniejszej wątpliwości, iż uleciał z sadzawki ogrodowej. Prosimy o bliższe szczegóły jeżeli twierdzenie nasze jest słuszne. Łaskawemu zaś członkowi Tow. łow. składa Muzeum przyrodnicze hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego powinne podzięki za dar i pamięć.

W jesieni 1875 r., urządzono na Szląsku wielkie polowanie na kuropatwy, w którem wziął także udział zaproszony anglik. Przybył on ze swoim wyżłem, a zarazem ze sztucznym jastrzębiem kuropatwiakiem napełnionym wewnątrz gazem wodorodowym. Jastrząb ten podobnie jak zwykłe baloniki uliczne przywiązany na sznurku, sam wzlatywał w górę i dał się w miarę potrzeby ściągać na dół. Skoro tylko wyżeł wytropił stado kuropatw, puszczał anglik w górę swego jastrzębia, a wtedy zastraszone kuropatwy zamiast podlatywać, przycupnęły nieruchome do ziemi i z wielką łatwością mogły być wyłapane lub wystrzelane, co przyczyniło się wielce do osiągnienia nadzwyczaj pomyślnych rezultatów z polowania. *Dod. myśl.*

Pewien myśliwy rozbiwszy dobrze wymierzonym strzałem gniazdo srocze, znalazł w niem kawałek łyżki srebrnej i francuską monetę złotą. Wiadomo, iż sroki szczególne mają upodobanie w jaskrawych i błyszczących przedmiotach.

Groźna walka. Wymknąłem się pewnego pogodnego dnia jesiennego z murów miasta, i udałem się w ukochane góry po części w celach łowieckich, w części zaś dla badań naukowych. Jedno i drugie powiodło mi się pomyślnie. Jesień już była dosyć głęboka, zimno dawało się czuć dotkliwie, mimo tego jednak pozostałem, aby wziąć udział w łowach na kozice. Tak doszło aż do końca Listopada, gdy jeszcze zaproszono mnie na polowanie kozicowe. Miało ono być ostatniem, już bowiem za dni kilka zbliżał się czas ochrony tych zwierząt. Rozlegała się już wprawdzie ponowa w górach, lecz nie była jeszcze tak silnie utrwalona, by z tego powodu polowanie musiało być zaniechane. Noc kazała się spodziewać zimnego ale pogodnego poranku, a na niebie jaśniały przeczystym blaskiem niezliczone gwiazdy. Skoro dzień zaświtał, byliśmy rychło na miejscu zbornem i ruszyliśmy żwawo i pełni otuchy w pochód. Przypuszczenia nasze były sprawiedliwe, okazało się bowiem istotnie, że ponowa niezupełnie jeszcze w górach się rozścieliła, a na wielu miejscach przezierały mech i trawa. Ponieważ, jak wiadomo, kozły, prócz w porze rui, nie trzymają się stada (kierdela), nie pomału zdziwiliśmy się spostrzegłszy tropy całego kierdela, przy którym się kozioł znajdował. Uderzającem było również pojawienie się kozic w rewirze tak nisko leżącym, co słusznie prowadziło do wniosku, że na wyżynach gór już gruby śnieg zaległ, i że niedostatek żeru spędził ową zwierzynę ku nizinom. Gdyśmy przybyli na szczyty pasma gór, ujrzeliśmy w oddaleniu może 200 kroków pod nami ów tropiony przez nas kierdel. Na wyskakującej połoninie, rozszerzającej się aż do stromej przepaści, staczały właśnie dwa stare kozły zażartą walkę. Wściekle nacierały na siebie. Z spuszczoną głową uderzały na siebie. Jeden z nich widocznie nie dorównywał przeciwnikowi siłą i męstwem, ciągle bowiem ustępował pod ciosami jego ku przepaści. Na samej tejże krawędzi jeszcze raz zaciekle zetknęły się z sobą, i byłby niezawodnie jeden z bohaterów naszych runął w niezgłębioną przepaść, gdyby się był niezatrzymał tylną racicą o sterczący odłam stromo spadającej ku otchłani skały. Z rozpaczliwem wysileniem udało mu się stanąć na pewniejszej i bezpieczniejszej podstawie, poczem uważając walkę zanadto dla siebie groźną pomknął i znikł nam z oczów. W naprężeniu wszystkich zmysłów naszych wyczekiwaliśmy skutku owej walki, a gdy ona się skończyła, już i nasze polowanie dobiegło kresu, ta bowiem walka wskazywała nam, że pora rui, lubo nieco przedwcześnie, już nadchodzi. Zresztą silna i nieprzyjemna woń, jaką kozły w tym czasie z siebie wydają, upewniała nas o tem. Mieliśmy wszakże przed oczami naszemi niezwykłe i nader ciekawe widowisko. *Sport-Zeitung.*

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

Wrzesień.

Wrzesień — jesień! Już chłodno, wiatr ciągnie przejmujący, zrywają się gromowe burze, a śnieg już pokrywa często czubałki stromych gór i oziębia okoliczne powietrze. W lesie liść już poczyna spadać z drzew, zmieniwszy barwę. Wody opadają i stają się jak kryształ przejrzyste, toż ryba szuka głębin i zjawia się tylko na chwilę na powierzchni pluskając nią. W polu pusto i głucho — toż najlepsza pora gonić chartami szaraka lub lisa. Wybiega też myśliwy z gończemi do lasu i gaju na małe łowy, nim z końcem tego miesiąca rozpoczną się wielkie, i śledzi stanowisko zwierza. — U jeleni, kozłów, danieli i łosiów poczyna się rykowisko, które trwa do sześciu tygodni, nie trudno więc teraz w zasadzce na upatrzonem stanowisku zabić zalotnika. — Trzody dzików leżą w głębi lasów w bagnistych barłogach. — Zając rzuca jeszcze raz młode, najczęściej na pastwę drapieżnego ptactwa lub tęgich przymrozków, — siedzi w porę pogodną pod skibą, w słotę w krzakach. — Wilki rozchodzą się. Lisy zbliżają się do jam zimowych, trzymają się gąszczów, a wychodzą w pole dla myszkowania podczas gęstej mgły, nie zaciekając się zbyt daleko. Teraz lisy, borsuki, łasice, kuny, tchórze i żbiki odpędzają młode od siebie, które już odtąd własnym żywią się przemysłem. Głuszce, cietrzewie i jarząbki trzymają się wielkich zwartych gąszczów, zimowych stanowisk swoich. Kuropatwy zapadają w zarośla i kapuśniska.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.